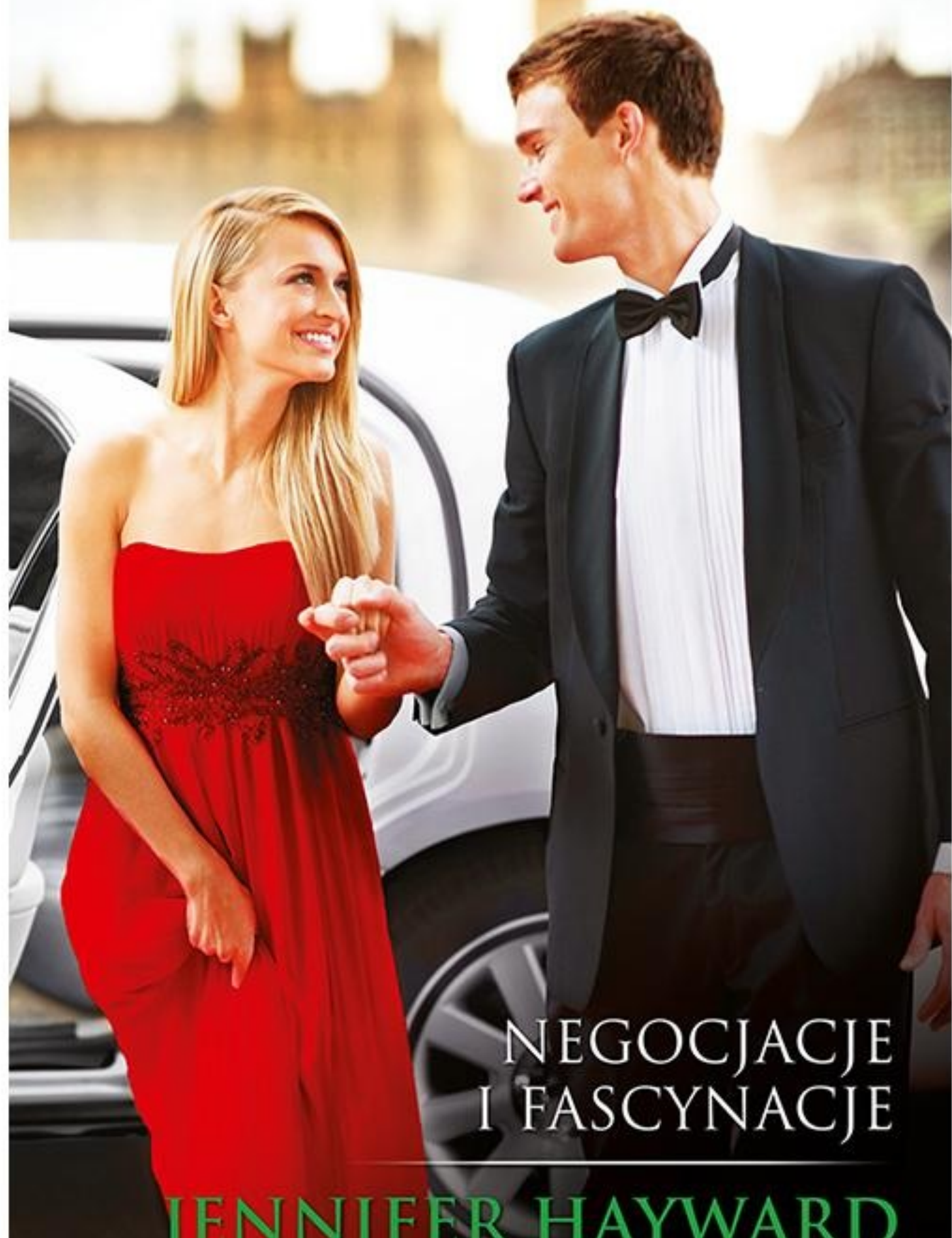


H HARLEQUIN[®]
TM

ŚWIATOWE ŻYCIE[®]



NEGOCJACJE
I FASCYNACJE

JENNIFER HAYWARD

Jennifer Hayward

Negocjacje i fascynacje

Tłumaczenie:

Maria Nowak

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jared Stone był w znakomitym nastroju. Obudził się jeszcze przed świtem, pełen energii i gotów podjąć każde wyzwanie, jakie przyniesie nadchodzący dzień. Kiedy słońce, optymistycznie złote po nocnym deszczu, wyłoniło się zza horyzontu, był już na trasie swojego porannego joggingu. Pokonał dziesięć kilometrów krętą ścieżką wiodącą przez zagajniki i polany podmiejskiego parku krajobrazowego, niemalże bez wysiłku utrzymując równe tempo biegu, lekko przeskakując przez zwalone pnie i pewnie stawiając stopy pomiędzy wilgotnymi głazami. Potem podarował swoim mięśniom chwilę relaksu pod gorącym prysznicem, wciąż delektując się niedawnym wspomnieniem leśnej ciszy, kropli rosy lśniących na źdźbłach traw i srebrzystych chmurek własnego oddechu w rześkim, niemalże mroźnym powietrzu wczesnego poranka.

Niespełna godzinę później różnym krokiem wmaszerował do siedziby firmy Stone Industries w centrum Saint José, podśpiewując pod nosem – nieco tylko fałszywie – piosenkę, którą usłyszał w radiu, kiedy jechał przez miasto za kierownicą swojej najnowszej zabawki, hybrydowego chevroleta tahoe. Utwór We are the champions zespołu Queen idealnie współgrał ze stanem jego ducha. Jared czuł się królem życia. Przebył długą drogę, odkąd jego pierwszy wynalazek, zmajstrowany w garażu, okazał się strzałem w dziesiątkę i przebojem wdarł się na rynek produktów elektronicznych. Dziś firma, którą założył, zajmowała nowoczesny budynek ze stali i szkła. Strzeliste, zdecydowane linie jednoznacznie wizualizowały ambicje szefa. Stone Industries była liczącą się potęgą w Dolinie Krzemowej, ale Jaredowi to nie wystarczało. Chciał podbić świat. Jeśli chodzi o ścisłość, opracował już strategię, która miała sprawić, że rynki europejskie staną przed nim otworem. Jeszcze tylko kilka dni, a wprowadzi swój plan w czyn. Na samą myśl czuł euforię. Uwielbiał walkę, także tę, która toczyła się w luksusowych, reprezentacyjnych wnętrzach, gdzie zebrani wokół mahoniowych stołów biznesmeni podejmowali decyzje warte miliardy dolarów. A nade wszystko lubił zwyciężać. Jeśli odniesie sukces w Europie, będzie miał na swoim koncie zwycięstwo, które raz na zawsze zamknie usta sceptykom, grzejącym fotele w radzie nadzorczej Stone Industries, i definitywnie zdystansuje rodzimą konkurencję.

Wciąż podśpiewując i wymachując teczką do rytmu, przemaszerował przez

główny hol, który zdobiły egzotyczne drzewka ustawione w szklanych wykuszach. Dyskretne, punktowe lampy oświetlały kiście kolorowych kwiatów, a w klimatyzowanym powietrzu unosił się łagodny zapach. Dekorator wewnątrz zrobił tu naprawdę dobrą robotę, pomyślał przelotnie Jared, po czym uniósł dłoń w geście pozdrowienia i uśmiechnął się do młodziutkiej okularnicy siedzącej za szerokim blatem z egzotycznego drewna. Robił tak codziennie, ciesząc oczy widokiem malinowego rumieńca zalewającego policzki recepcjonistki. Dzisiaj jednak dziewczyna musiała być w bardzo złej formie, bo zamiast odpowiedzieć mu uśmiechem, skrzywiła tylko usta, jak gdyby dręczyła ją wyjątkowo paskudna niestrawność. Jared zmarszczył brwi, ale w następnej chwili zadzwieczał dzwonek i drzwi jednej z wind rozsunęły się bezszelestnie. Zapominając na dobre o recepcjonistce, ruszył biegiem i w ostatniej chwili zdołał wśliznąć się do kabiny, zręcznie blokując drzwi teczką z papierami.

– Dzień dobry wszystkim! – zagaił wesoło, szczerząc zęby w uśmiechu pełnym animuszu. Windę wypełniał spory tłumek; Jared zanotował sobie w pamięci, którzy z pracowników byli do tego stopnia zaangażowani, by przychodzić do pracy przed ósmą rano. Wysoki kędzierzawy rudzielec z działu finansów, imieniem bodajże Gerald, z reguły poważny i zamknięty w sobie, dziś wyraźnie rozpromienił się na widok szefa i posłał mu porozumiewawcze spojrzenie, jak gdyby łączyła ich jakaś sekretna komitywa. Jennifer Thomas, fertyczna brunetka o cygańskiej urodzie, której bardziej pasowałaby chyba falbaniasta suknia niż grzeczna garsonka asystentki wiceprezesa, zazwyczaj wyładowywała swój gorący temperament, niemal otwarcie flirtując z Jaredem, kiedy tylko nadarzyła się ku temu sposobność. Tym razem jednak zasznurowała usta i wbiła wzrok w podłogę, udając, że widzi tam coś niezmiernie interesującego. Z kolei blada, tleniona blondynka pracująca w dziale prawnym, której nazwiska nie był w stanie zapamiętać, zamiast odwzajemnić powitanie, ostentacyjnie odwróciła się doń tyłem.

Dziwne. Doprawdy dziwne.

Dalej nie było ani trochę lepiej. Kiedy winda zatrzymała się na piętrze zajmowanym przez kierownictwo, ruszył przez senne jeszcze o tej porze korytarze i niemal wpadł na asystentkę drugiego wiceprezesa, która pędziła przed siebie, zapatrzona w jakieś papierzyska. Wiedziony odruchem, wyciągnął ramiona, żeby podtrzymać ją, gdy się zachwiała, ale ona odskoczyła w bok i, o ile słuch go nie mylił, prychnęła jak rozwścieczona kotka.

To była już kompletna aberracja. Jaredowi nie zdarzyło się dotąd, by jakakolwiek kobieta nie rzuciła się ochoczo w jego objęcia, jeśli tylko miała taką możliwość.

Czyżby czegoś nie zauważył? Może jakieś złośliwe ptaszysko napaskudziło mu na głowę, kiedy wyszedł z domu? Może pobrudził się pastą do zębów albo po jego ramieniu pełznął właśnie ohydny, kosmaty pająk? Nieco nerwowo przeczesał dłonią włosy, otarł usta i strzepnął poły marynarki. Nic. Kręcąc z niedowierzaniem głową, przekroczył próg swojego biura. Po drodze spotkał jeszcze młodzieńca z serwisu sprzątającego, który pchał wózek, gapiąc się równocześnie na ekran smartfona. Mijając szefa, chłopak oderwał wzrok od tego, co właśnie czytał, zarżał jak rozbawiony żreback, uniósł w górę kciuk i energicznie nim potrząsnął, jak gdyby czegoś mu gratulował. Owszem, było czego, ale pracownicy serwisu sprzątającego raczej ograniczali się do zdawkowego skinienia głową. Jared nie rozumiał ani w ząb, co się działo.

– Dzień dobry panu. – Mary, jego osobista asystentka, miała pięćdziesiątkę na karku, burzę nigdy niefarbowanych, szpakowatych loków i urok osobisty, który Jared bardzo cenił. Dzięki jej werwie i poczuciu humoru nawet najbardziej ponury dzień stawał się całkiem znośny. Tym razem jednak brązowe oczy Mary nie śmiały się, a jej szerokie brwi były ściągnięte w wyrazie troski... a może nagany?

– Co się dzisiaj ze wszystkimi dzieje?! – Kiedy, jak co rano, podała mu starannie opracowaną prasówkę i plik najpilniejszych wiadomości, wyrwał papiery z jej rąk gwałtownym gestem człowieka zirytowanego. – Słońce świeci, sprzedaż zwyżkuje, płace rosną. Dlaczego jedni mają kwaśne miny, jak gdyby najedli się szczawiu, a inni rechocą jak głupki?

Mary posłała mu poważne spojrzenie.

– Nie korzystał pan jeszcze dziś z internetu, prawda?

– Oczywiście, że nie – westchnął, siląc się na cierpliwość. – W przeciwieństwie do wszystkich innych w biurze staram się zachowywać normalnie, więc, tak jak zawsze, nie odpalam komputera ani nie włączam smartfona przed ósmą rano. Po wstaniu z łóżka biegam. Albo medytuję. W ten sposób dbam o to, żeby zachować równowagę ciała i ducha lub, inaczej mówiąc, nie zwariować. Dzień jest dość długi, żebym zdążył się dowiedzieć, jakie nowe szaleństwo opanowało rzeczywistość wirtualną oraz kto, co i jak skomentował na portalach społecznościowych.

– Cóż, dzisiaj będzie miał pan co czytać. – Asystentka skrzywiła usta. – Szaleństwo, to doprawdy bardzo delikatne określenie tego, co się dzieje. Facebook i Twitter są w stanie wrzenia. Można bez przesady powiedzieć, że w jedną noc zyskał pan prawdziwą sławę, zwłaszcza, hm, wśród płci pięknej. Teraz każda kobieta, nawet taka, która nie ma pojęcia, co to twardy dysk, wie, kim jest Jared Stone. I, proszę mi wierzyć, żadna nie życzy panu dobrze.

– Dlaczego, na Boga... – zaczął i urwał, kiedy położyła mu dłoń na ramieniu.

– Jared – w jej głosie zabrzmiała nuta matczynej troski – pańska, hm, deklaracja programowa wyciekła do internetu. Mniej więcej od północy każdy może ją przeczytać. I nikt nie pisze o niczym innym. Dość powiedzieć, że moja siostra przysłała mi rano mejl z pytaniem, dlaczego jeszcze pracuję dla człowieka tak podłego jak pan.

Deklaracja programowa?

Jared poczuł bardzo nieprzyjemny dreszcz, jak gdyby wzdłuż jego kręgosłupa nagle zaczęły biegać poważnie rozeźlone czerwone mrówki. W całym swoim życiu napisał tylko dwie deklaracje. Pierwsza, stworzona przed laty, określała program firmy Stone Industries i z całą pewnością nie ona narobiła nagłego szumu w sieci. Druga powstała za ledwie poprzedniego wieczora, kiedy wrócił do domu po małym wypadku w miasto z paczką najbliższych kumpli. Był rozbawiony i, co tu kryć, lekko podchmielony, a rozmowy w męskim gronie sprawiły, że poczuł przyływ weny. Tylko że żartobliwy tekst, który wtedy spłodził, w żadnym razie nie był przeznaczony dla szerokiej publiczności! Jared nie był taki głupi, by umieszczać go w sieci, wysłał go tylko do kolegów prywatnym mejlem...

Ktoś włamał się do jego poczty!

Gdy znaczenie tego faktu w pełni dotarło do jego świadomości, konsternacja i zażenowanie zniknęły, zmiecione przez potężną falę gniewu. Został okradziony z prywatności. Mało tego – ktoś rozmyślnie zadziałał na jego szkodę. A on podłożył się koncertowo, pisząc tę durnowatą deklarację. Praktycznie włożył broń do ręki człowiekowi, który życzył mu źle.

– Jakie są reakcje? – wychrypiał, zaciskając palce na pliku papierów.

– Niestety, jak najgorsze. – Mary pokręciła głową. – Sam Walters będzie tu lada chwila...

– Nie jestem z nim umówiony. – Jared zmarszczył brwi.

– Teraz już pan jest – ucięła asystentka. – Dział prawny i specjaliści od PR-u właśnie głowią się nad sposobami zażegnania katastrofy. Zwołał wszystkich na naradę wojenną. Grozi nam bezprecedensowa zapaść. Trzy wiodące organizacje feministyczne zdążyły już wezwać do bojkotu wszelkich naszych produktów.

Jared bez słowa zamknął się w gabinecie, usiadł w fotelu i, opierając łokcie na biurku, zanurzył palce we włosach. To tylko przejściowy kryzys – powiedział sobie twardo. A kryzysy są po to, żeby je pokonywać.

Bailey St John zajęła na podziemny parking firmy punktualnie o wpół do ósmej.

W windzie, korzystając z kilkudziesięciu sekund samotności, poprawiła makijaż – zabieg absolutnie konieczny dla kobiety, której los zrobił wątpliwy prezent, obdarzając karnacją tak jasną, że ocierającą się niemal o albinizm. Owszem, nierzadko komplementowano jej włosy o delikatnym, chłodnym odcieniu szampana, ale mało kto wiedział, że brwi i rzęsy miała prawie białe, zaś całą twarz, nawet usta i skórę powiek, pokrytą nieprzebranym mnóstwem piegów. Wszystko to znikało co rano pod warstwą bojowych barw ochronnych, sprawnie nałożoną za pomocą pudru, szminki i tuszu do rzęs. Bailey nie chciała przyciągać uwagi swoim nietypowym wyglądem. Cel miała jeden – zrobić karierę, i to nie byle gdzie, ale właśnie tutaj. Krzemowa Dolina rozpałała jej wyobraźnię. Była miejscem, w którym codziennie rodziły się wynalazki, jak gdyby znajdowało się tu jedno z gniazd postępu ludzkości. Tutaj pracowali ludzie nieszablonowi i błyskotliwie inteligentni, a towarzystwo takich ludzi Bailey uwielbiała. Wystarała się o pracę w Stone Industries przede wszystkim dlatego, że fascynował ją Jared Stone – człowiek znikąd, który zawdzięczał swój spektakularny sukces niesamowitym zdolnościom i graniczącej z bezczelnością odwadze. Amerykanin, który piechotą przemierzył Tybet, żeby nauczyć się sztuki medytacji tam, gdzie praktykowano ją od tysiącleci. Inżynier, którego wynalazki najpierw budziły pusty śmiech – nie dowierzano, by rozwiązania tak lapidarne mogły mieć jakąkolwiek wartość – a potem szczerze zdumienie, gdy się okazywało, jak bardzo są innowacyjne. Sprzęt elektroniczny projektowany przez Jareda Stone’a był nie tylko efektywny i niezawodny, ale zdawał się idealnie ilustrować zasadę buddyźmu zen: prostota i doskonałość. Bailey zakochała się w tych gadżetach na śmierć i życie, kiedy tylko wzięła jeden z nich w ręce. Od tamtej chwili praca dla Stone Industries była jej marzeniem. Karierę zaplanowała starannie, jeszcze wtedy, kiedy była nieśmiałą, chudą brzydulką, mieszkającą w niezbyt ciekawym miejscu, z zupełnie nieciekawą rodziną. Wyrwała się z prowincji. Skończyła studia, uzyskała dyplom MBA. Pierwsze kroki stawiała w jednej z niewielkich firm działających w Krzemowej Dolinie, gdzie chętnie przyjmowano stażystów, którzy mieli niewygórowane wymagania finansowe. Pół roku harówki za marne pieniądze i była gotowa, żeby stanąć w progu Stone Industries.

Zacząła tu pracować trzy lata temu. Początkowo jej euforia była wprost proporcjonalna do tempa, w jakim awansowała. A potem – cóż, potem euforia minęła, kiedy Bailey rozbiła sobie głowę o tak zwany szklany sufit, dzieląc los rzesz kobiet, które w męskim świecie usiłowały dojść na sam szczyt. Od długich osiemnastu miesięcy tkwiła na stanowisku regionalnego dyrektora sprzedaży.

Logicznie rzecz biorąc, następnym szczeblem w karierze był fotel wiceprezesa. Bailey robiła wszystko, żeby go zdobyć, ale chociaż pracowała najwydajniej spośród całego grona kandydatów do awansu, co przekładało się na konkretne sumy w rubryce przychodów firmy, Jared Stone zdawał się w ogóle jej nie dostrzegać. Zebranie zarządu miało miejsce zaledwie przed miesiącem. Teraz na fotelu wiceprezesa grzał swój spasiony tyłek pewien sympatyczny, ale niezbyt lotny intelektualnie amator chipsów i piwa, a ona została odesłana do swojego pokoju, jak gdyby była niesfornym, rozkapryszonym bachorem.

Odchorowała porażkę. Wypociła ją na siłowni, trenując swój ulubiony kick-boxing do kompletnego wyczerpania. A potem zacisnęła zęby, poprawiła makijaż i wróciła do biura. Gdy szło o Jareda Stone'a, spadły jej z oczu łuski. Owszem, myliła się, sądząc, że Stone Industries jest rajem na ziemi, ale to nie znaczyło, że zamierzała się poddać. Życie nauczyło ją, jak być twardą.

Obiecała sobie, że jeszcze przyjdzie moment jej triumfu. Tego ranka więc, jak co dzień, energicznie wkroczyła do swojego gabinetu, postawiła na biurku półlitrowy termiczny kubek pełen świeżo zaparzonej kawy, niebiańsko pachnącej i diabelnie mocnej, po czym powoli i ostrożnie usiadła w fotelu, przeklinając po raz kolejny ołówkową spódnicę z wysokim stanem, w którą się dzisiaj ubrała. Ciuszek był pierwsza klasa, ale czuła się trochę tak, jak gdyby zamknięto ją w bardzo ciasnym futerale. Zsunęła ze stóp szpilki, podwinęła rękawy białej koszulowej bluzki, włączyła komputer i, patrząc jeszcze nieco sennym wzrokiem na budzący się do życia ekran, upiła pierwszy, ożywczy łyk kawy. Działając niemal odruchowo, otworzyła konto mejlowe. Sprawdzi korespondencję, dając swoim szarym komórkom jeszcze kilka minut relaksu, zanim kawa zacznie działać i postawi je w stan bojowej gotowości.

Rzuciła okiem na listę wiadomości, dzieląc je w pamięci na te pilne i te ważne, a potem otworzyła tę, która z miejsca przyciągnęła jej uwagę. Był to jedyny prywatny mejl, jaki dostała od niejakiej Aarii, dziewczyny, z którą zaprzyjaźniła się na siłowni. Enigmatyczny tytuł wołał wielkimi literami: „BEZ KOMENTARZA!!!”. Unosząc ze zdumieniem idealnie wyregulowaną, przyciemnioną henną brew, zaczęła czytać.

I poczuła, jak bez pomocy kawy podnosi jej się ciśnienie.

Jared Stone, ekscentryczny geniusz komputerowy i miliarder, udowodnił, że w pełni zasługuje na reputację Don Juana z Krzemowej Doliny. W swojej „Deklaracji programowej” bierze na celownik kobiety, a cynizm, z jakim o nich pisze, już wywołał ogólnoswiatowe oburzenie – głosił tytuł. – Tekst, który podobno „wyciekł”

do sieci bez wiedzy i zgody autora, nie pozostawia żadnych złudzeń co do tego, jak magnat przemysłu informatycznego postrzega kobiety - czy to w okolicznościach romantycznych, czy zawodowych.

Bailey odstawiła kubek tak gwałtownie, że gorący płyn chlapanął na blat biurka. Nawet tego nie zauważyła. Choć było wcześniej rano, „Deklaracja programowa” miała już dwa miliony odsłon.

Na przestrzeni mojego niewątpliwie burzliwego żywota miałem okazję spotkać bardzo wiele kobiet - czy to w biurze, czy w buduarze, czy to w Ameryce, w Europie czy w Azji. Gdybym był naukowcem, mógłbym śmiało powiedzieć, że przeprowadziłem eksperyment na reprezentatywnej próbie statystycznej. Co prawda nim nie jestem, ale uważam, że mój poważny wiek oraz bogate doświadczenie uprawniają mnie do sformułowania wniosków, jakie wypływają z moich obserwacji. Pozwolę sobie niniejszym je przedstawić.

Tak, autorem tego tekstu był z pewnością Jared Stone. Bailey rozpoznała bez trudu jego pełen swady, lekko kpiarski styl. Ale treść? Im dalej czytała, tym bardziej robiło się jej gorąco. Po chwili buzowała już wściekłością.

Po pierwsze i najważniejsze: **KOBIETY KŁAMIĄ.**

Będą się zarzekać, że mają tylko jedną ambicję - zrobić karierę, zasiąść na fotelach prezesów i w salach obrad zarządu, i żeby nikt nie dał po sobie poznać, że dostrzega, że są kobietami. Słowa, słowa, słowa, słowa... Kto, tak jak ja, dał się na nie nabrać do tego stopnia, że sam stał się gorącym zwolennikiem równouprawnienia, rychło się przekonał, że tak naprawdę w ciągu ostatnich stu lat na froncie damsko-męskim nie zmieniło się absolutnie nic. Naprawdę sądzicie, że kobiety marzą o tym, by walczyć o kolejny lukratywny kontrakt albo główkować nad strategią fuzji wielkich przedsiębiorstw? Otóż nie. One chcą przede wszystkim bogato mieszkać, w willach lub apartamentach, na które MY mamy zarobić. Chcą mieć wszystko, czego dusza zapagnie, a MY mamy im to zagwarantować. Ergo, każda z nich chce **MĘŻCZYZNY**. Dodatkowe wymagania to gruby portfel i żelazna kondycja. To drugie po to, żebyś zapewnił jej gorące, namiętne noce. To pierwsze, żeby zanim traficie do łoża zaścielonego jedwabiem i satyną, ona mogła błysnąć brylantami, siedząc przy stoliku w jakiejś absurdalnie drogiej restauracji. Dopóki nie ma takiego samca na stanie, kobieta dryfuje przez życie bez sensu i celu...

Co takiego?! Bailey aż drgnęła, tak ubodły ją te insynuacje. Dryfuje bez sensu i celu?! Co ten dupek wiedział o życiu dziewczyny takiej jak ona? Cel był w zasadzie jedyną rzeczą, jaką miała. Żeby go osiągnąć, zrobiłaby... niemalże wszystko. Przez lata pracowała jak stachanowiec, krok po kroku realizowała plan. Dzisiaj dotarłaby

już pewnie na miejsce przeznaczenia, gdyby na jej drodze nie stanął Jared Stone. Cóż za ironia losu! Zaśmiała się gorzko, a potem ze złością zacisnęła usta. Nie, nie ma sensu zwać winy na los; winny był tylko i wyłącznie Jared Stone. To on, wiedziony bezinteresowną złośliwością, zablokował jej drogę awansu. Do tej chwili zdarzało jej się myśleć, że może czymś mu podpadła... Teraz przekonała się, że był zwykłą, szowinistyczną świnią. Chociaż pracowała jak stachanowiec, usadził ją, bo nosiła kieckę. A potem miał czelność wypisywać w sieci, że kobietom nie zależy na pracy!

Zacisnęła zęby tak mocno, że aż zgrzytnęły, i czytała dalej, czując, jak wzbiera w niej furia, potężna niczym tornado. Jared Stone nie ograniczył się do obelżywej konstatacji, że kobiety to wyrachowane, kłamliwe i niespecjalnie ambitne naciągaczki. W dalszej części swojej „Deklaracji programowej” objaśniał zasady, jakimi powinni się kierować przedstawiciele płci męskiej w kontaktach z istotami tępymi i perfidnymi, jakimi są kobiety.

Zasada pierwsza

Kobiety są szalone. Ich sposób myślenia jest tak kuriozalnie pokretny, że nie ma sensu nawet próbować się w nim połapać. Należy po prostu znaleźć jednostkę, która wykazuje na tyle słabe symptomy szaleństwa, że da się z nią wytrzymać. Ale nawet wtedy, jeśli któryś z Was wykaże się straceńczą odwagą i postanowi wyskoczyć z pierścionkiem, niech się ma na baczności! Osobiście odradzam podejmowanie takiego ryzyka.

Zasada druga

Marzeniem każdej kobiety jest błysk złotej obrączki na serdecznym palcu i soczyście zielony trawnik za białym płotem otaczającym Wasz wspólny dom z ogródkiem. Nie bądź naiwny i nie wierz jej, kiedy się zarzeka, że ma zupełnie inne priorytety. Oczywiście, jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że rodzina jest podstawową komórką społeczną, a dzieci przyszłością narodu, dążenie to trzeba uznać za jak najbardziej chwalebne. Ale, człowieku, miej pojęcie, w co się pakujesz!

Zasada trzecia

Kobieta pragnie, żebyś w sypialni okazał się czułym barbarzyńcą. Mężczyzna ma dominować, ma przejąć całkowitą kontrolę nad sytuacją... i robić dokładnie to, o czym ona skrycie marzy! Kobieta chce się poczuć w Twoich ramionach „taka mała”. Nie znosi, kiedy się dopytujesz, czy postępujesz właściwie. Niech Ci nie przyjdzie do głowy pytać, czy było jej dobrze. Bądź prawdziwym samcem – zuchwałym, niewyżytym i zmysłowym. Uwierz mi, żadnej kobiety nie kręci subtelny i niepewny łożkowy altruista.

Zasada czwarta

Każda kobieta zaczyna dzień, wyznaczając sobie konkretny cel. Coś, co wieczorem z satysfakcją skreśli ze swojej listy spraw do załatwienia. Może chodzić o pierścionek z brylantem wielkości kostki cukru, o to, żebyś poświęcił jej więcej czasu albo żebyś się wreszcie zgodził wpaść na niedzielny obiad do jej mamusi... Cokolwiek by to było, reguła jest prosta: albo się zgadzasz i nie dyskutujesz, albo się żegnasz i nie oglądasz za siebie. To drugie rozwiązanie jest na dłuższą metę o wiele mniej kosztowne, możecie mi wierzyć.

Zasada piąta

Jeśli Ci życie miłe, trzymaj się z daleka od dziewic. Bo jeśli wpuścisz jedną z nich do swojego życia, ona wywróci je do góry nogami. Wciągnie Cię do gry, w której zwycięzca bierze wszystko, a potem znokautuje Cię, nie dając najmniejszych szans na obronę. Dziewice nie umieją spontanicznie podejść do sprawy. Nie rozumieją tekstu „sprawdźmy, dokąd nas to zaprowadzi”. Widziałem, jak faceci, którzy byli na froncie i bez lęku stawiali czoło terrorystom, kapitulowali, gdy jedna z nich stanęła na ich drodze, i byli bezlitośnie brani w niewolę...

Bailey gwałtownie okręciła się na fotelu i wlepiła wzrok w okno. Powiedziała sobie twardo, że dalej czytać nie będzie; nie zamierzała ryzykować udaru albo zawału serca tylko dlatego, że pewien idiota był uprzejmy obwieścić całemu światu, co mu się roi w głupim łbie. Stek bzdur, niewart chwili jej uwagi, ot, czym była ta cała „Deklaracja programowa”. Bailey zaśmiała się krótko, gorzko, po czym zamknęła pocztę. Miała ważniejsze sprawy na głowie. Powinna skupić się na pracy, dać z siebie wszystko...

Czyżby?

Motywacja, jeszcze przed chwilą tak oczywista, nagle zbladła. Marzenie, którym żyła od dawna – by wyrwać się z szarego tłumu anonimowych pracowników Stone Industries i móc działać ramię w ramię z Jaredem, geniuszem i wizjonerem – straciło cały magnetyzm. Owszem, Jared Stone miał nie tylko wybitnie błyskotliwy umysł, ale też wyjątkową, męską urodę, wyrazistą i mroczną, która działała na nią w sposób... niepokojący. Szkoda, że okazał się po prostu gamoniem, jak znakomita większość osobników płci męskiej, o ile nie wszyscy. Żeby zająć czymś ręce, wyciągnęła szminkę z torebki i z roztargnieniem zaczęła poprawiać makijaż, który żadnych poprawek nie wymagał. Trzy lata w plecy, pomyślała, czując, jak wzbiera w niej żal. Kiedyś przysięgła sobie, że w wieku lat trzydziestu pięciu dotrze na sam szczyt korporacyjnej piramidy. Niestety, wybrała drogę, która prowadziła donikąd. Wciąż bawiąc się szminką, otworzyła przeglądarkę internetową i pociągnęła łyk

kawy. Zobacz, na jakie oferty pracy może liczyć ktoś z jej doświadczeniem. Była gotowa złożyć wypowiedzenie natychmiast, jeśli tylko znajdzie coś interesującego. Odwróci się na pięcie i odejdzie, nie oglądając się za siebie. Przeżyje. Ostatecznie nie pierwszy raz musiałyby spalić za sobą mosty.

ROZDZIAŁ DRUGI

– To przecież tylko głupi żart, nic więcej. – Jared rozłożył ręce niecierpliwym gestem. – Żart, dodam, adresowany wyłącznie do bliskich znajomych. Ktoś dopuścił się bardzo nieładnej manipulacji, upubliczniając moją prywatną korespondencję. Odkryje się, kto za tym stoi, a potem dopilnuje typu, żeby napisał stosowne sprostowanie i po krzyku.

Odpowiedziało mu milczenie. Pięć par oczu wpatrywało się w niego z napięciem. Nie wyglądało na to, by szefostwo działu prawnego i spece od PR-u podzielali jego optymizm, gdy szło o rozwiązanie problemu. Z westchnieniem podniósł się zza biurka i gestem, w którym nie było entuzjazmu, zaprosił całe towarzystwo, żeby zajęło miejsca wokół stołu o blacie z surowego, sezonowanego drewna. Tutaj, w wygodnych, obitych skórą fotelach, wąskie grono decydentów Stone Industries zbierało się, żeby toczyć narady wojenne. Jared nigdy by nie przypuścił, że jedna z nich będzie sprowokowana takim idiotyzmem i że będzie się musiał tłumaczyć przed własnymi pracownikami z czegoś, co naprawdę nie było ich sprawą. Najchętniej rozpedziłyby całe to stadko nabzdyczonych świętoszków na cztery wiatry i może faktycznie by to zrobił, gdyby nie chmurna mina Sama Waltersa. Człowiek, od którego Jared ogromnie dużo się nauczył, stawiając pierwsze kroki w biznesie, dziś mógłby spokojnie korzystać z ogromnego bogactwa, wygrzewając się na jakiejś egzotycznej plaży. Jednak starszemu panu ani w głowie była emerytura. Wolał zasiadać w radzie nadzorczej Stone Industries, a także wtrącać swoje trzy grosze, kiedy tylko nadarzyła się sposobność. Jared przekonał się już dawno, że nie warto lekceważyć wskazówek Sama; cenił jego bezbłędny instynkt, gdy chodziło o strategię rynkowe, i uważał go za swojego mentora. Jeśli więc stary Walters uważał, że sytuacja jest poważna, to niestety najprawdopodobniej tak było. Niech to szlag.

Julie Walcott, szefowa działu PR, pierwsza zabrała głos.

– To nie będzie takie proste. W tej chwili tekst ma już blisko dwa miliony wyświetleń, a jego popularność stale rośnie. Organizacje feministyczne grożą bojkotem produktów Stone Industries, a to nie jest bagatela. Wszyscy wiemy, jakie są wyniki badań rynku. Nasze produkty, czy to smartfony, czy laptopy, popularne są przede wszystkim wśród kobiet. Żadne sprostowanie nie wystarczy, żeby cała

sprawa poszła w zapomnienie.

Jared opadł na oparcie fotela i rozmyślnie powolnym ruchem założył nogę na nogę. Może i został przyparty do muru, ale z całą pewnością nie zamierzał okazywać niepokoju.

– Co proponujesz? – rzucił, unosząc kącik ust w sarkastycznym uśmiechu. – Mam paść na kolana i błagać o przebaczenie żeńską połowę populacji?

– Niegłupi pomysł. – Nie odwzajemniła uśmiechu.

– Słucham?! – zdębiał. – Jak już mówiłem, napisałem ten tekst dla zabawy i wysłałem do kilku kumpli. Prędzej mi kaktus wyrośnie, niż zacznę się z niego tłumaczyć wszem i wobec, wypowiadając się jako szef Stone Industries! To tylko dowcip, prywatny, adresowany do paru facetów. Nie zamierzam nadawać mu rozgłosu i rangi oficjalnego wystąpienia, a tak by się stało, gdybym teraz wyskoczył z solennym dementi.

– Cóż, ten dowcip przestał być prywatny ponad osiem godzin temu. Dzięki portalom społecznościowym opowiedział go pan już niemal całemu światu – skwitowała Julie rzeczowym tonem. – Więc jeśli chce pan zachować twarz, musi pan odszczekać wszystko, oficjalnie, jako szef Stone Industries. To jedyny sposób, żeby zażegnać katastrofę. I uchronić się przed dotkliwymi stratami.

– Wszyscy wiemy, że tego nie planowałaś – Sam Walters splótł ramiona na piersi – ale odkąd twoja „Deklaracja” stała się ogólnie dostępna, wszystko, co w niej zawarłaś, może zostać zaskarżone sędownie. Przez każdego, kto uzna, że zostały pogwałcone prawa człowieka, naruszona polityka parytetów i polityczna poprawność. A nawet jeśli stanie się cud i żadna aktywistka nie zechce wlec cię po sądach, pamiętajmy, że jest jeszcze córka Davida Gagnona. Na pewno już przeczytała twoją deklarację i wątpię, by była nią specjalnie rozbawiona.

Jared skrzywił się, jak gdyby dano mu do przełknięcia gorzką pigułkę. Stary Walters naprawdę nie musiał mu przypominać o Micheline Gagnon i jej feministycznym zaangażowaniu. Tak się nieszczęśliwie składało, że David, prezes Maison Électronique, największego sprzedawcy sprzętu elektronicznego na Europę, miał córkę, która była zagorzałą tępiciełką wszelkich przejawów męskiego szowinizmu. A traf chciał, że Stone Industries zabiegało właśnie o pięcioletni kontrakt z Maison Électronique. Kontrakt, który otwierał drogę do ekspansji na rynek europejski. Dla strategii rozwoju firmy był to kamień milowy, ba, Rubikon. Przekroczenie go oznaczało zdystansowanie rodzimej konkurencji i wydostanie się z miejscowego grajdołka na szeroki świat. David Gagnon był człowiekiem ceniącym więzi rodzinne; kto wie, czy nie da posłuchu córce i jej koleżankom z kobiecych

organizacji? Micheline Gagnon była poczytną komentatorką na kilku wiodących portalach społecznościowych. Jared był więcej niż pewien, że jego żartobliwy tekst zupełnie jej nie rozbawi, i da temu wyraz w sieci, przekabacając tysiące kobiet na swoją stronę.

Dlaczego ludzie byli takimi sztywniakami bez poczucia humoru?

Wsunął ręce do kieszenie i zwinął dłonie w pięści, tak mocno, że aż chrupnęły w stawach.

– Co, waszym zdaniem, powinienem teraz zrobić? – wydusił z grymasem człowieka próbującego wypluć muchę, która wpadła mu do gardła.

– Powinniśmy wystosować oficjalne przeprosiny – podjęła Julie, nie komentując miny szefa. – Napiszemy, że ubolewamy nad tym, że tekst, który z założenia miał być satyryczny, lecz w rzeczywistości okazał się po prostu w złym guście, uraził uczucia wielu osób. Zapewnimy, że w żaden sposób nie odzwierciedla on pańskich poglądów dotyczących kobiet, dla których żywi pan jak najgłębszy szacunek.

– Oczywiście, że szanuję kobiety – prychnął Jared. – Po prostu uważam, że w niektórych sprawach lepiej trzymać się zasady ograniczonego zaufania.

Julie zmierzyła go znaczącym spojrzeniem.

– Kiedy ostatnio mianował pan kobietę na jakiegokolwiek stanowisko w zarządzie firmy?

Jared poczuł się jak uczeń wezwany na dywanik do dyrektorki. Niewiele miał na swoją obronę. Prawda była taka, że nie zrobił tego jeszcze nigdy, ale nie dlatego, że miał coś przeciwko kobietom. Po prostu, choć znał wiele bardzo uzdolnionych niewiast, nie spotkał jeszcze żadnej, której zaufałyby na tyle, by z czystym sumieniem powierzyć jej odpowiedzialność za swoją firmę.

– Przedstawcie mi taką, która będzie się nadawać do objęcia kierowniczego stanowiska, a zaraz ją mianuję wiceprezesem – oświadczył, usiłując zignorować niemiłe wrażenie, że wyzywa los.

– Proponuję Bailey St John. – Sam Walters posłał Jaredowi bystre spojrzenie spod gąszczy nastroszonych, krzaczastych brwi. – Uważam, że w pełni zasłużyła na miejsce w zarządzie.

– Bailey? – Ironiczny grymas wykrzywił twarz Jareda. – To przypadek szczególny. Nie jest gotowa na taki awans. Och, ona z pewnością uważa, że była gotowa nań od urodzenia, ale ja tej opinii nie podzielam.

– A jakie to ma znaczenie? – W głosie Sama pojawiła się lodowata nuta. – Drogi chłopcze, może cię zmartwię, ale znalazłeś się w sytuacji, w której nie możesz sobie pozwolić na luksus postępowania według własnego widzimisię. Musisz wykonać

gest, który zostanie zauważony przez środowiska kobiece. Bailey nie jest gotowa? To ją przygotuj. I, do diabła, awansuj ją, nawet na prezesa kuli ziemskiej, jeśli będzie trzeba.

– To duży błąd – upierał się Jared. – Bailey jest błyskotliwa, ale niedojrzała. Powierzyć jej taką odpowiedzialność, to jakby dać dziecku wyrzutnię raketową do zabawy.

– Założę się, że panna St John szybko się uczy – Sam Walters nie dał się zbić z tropu. – I na pewno jest zmotywowana. Wolisz chyba mieć problem z jedną młodą damą niż z całym tłumem rozeźlonych akcjonariuszy? Jeżeli nie zadziałasz szybko, możesz stracić wszystko, co budowałeś przez ostatnie dziesięć lat.

Jared zrozumiał, że został przyparty do muru; nie podobało mu się to ani trochę. Ostatecznie, człowiek, który zaczął rozkręcać biznes, nie mając dolara przy duszy, i bez niczyjej pomocy stworzył przedsiębiorstwo, którego akcje na giełdzie NASDAQ utrzymywały tendencję zwykłą mimo kryzysu, miał prawo się spodziewać, że głupi błąd zostanie mu wybaczony. Ale nie – na rynku panowały prawa dżungli i ktoś, komu powinęła się noga, stawał się ofiarą, którą inni chętnie pożarliby żywcem. Nie był tak naiwny, by oczekiwać, że główni akcjonariusze Stone Industries będą się bawić w sentymenty. Dla nich liczyły się zyski, a jeśli Jared Stone nie potrafił ich zapewnić, tym gorzej dla niego. Zawsze mogli zastąpić go kimś innym.

– W porządku – wychrypiał. – St John dostanie awans. Co jeszcze mam zrobić?

– Zapisze się pan na szkolenie poświęcone politycznej poprawności – wyrwał się szef działu prawnego. – Idealnie byłoby, gdyby udostępnił pan tę informację na portalach społecznościowych. Im bardziej szczegółowo opisz pan swoje postępy na kursie, tym lepiej. Dział PR zajmie się redakcją...

– Po moim trupie – uciął Jared z lodowatym spokojem. Prędzej rozpocznie nową karierę jako uliczny pucybut, niż weźmie udział w tak żalösnej farsie. – Jeszcze jakieś pomysły?

Julie krótko przedstawiła plan podreperowania reputacji Jareda i ratowania obrotów Stone Industries. Musiał przyznać, że znała się na swojej robocie; za to jej zresztą płacił. Zgodził się na wszystko, oprócz durnego kursu politycznej poprawności, a potem grzecznie, ale stanowczo poprosił zebranych, żeby nie marnowali dłużej swojego cennego czasu, tylko wrócili do pilnych zajęć. Kiedy za ostatnim uczestnikiem zbiegowiska zamknęły się drzwi, zerwał się na równe nogi i zaczął przemierzać gabinet niecierpliwymi krokami.

Zagwozdkę, której na imię było Bailey St John, sam sobie zafundował. Pamiętał,

jak gdyby to było wczoraj – zobaczył ją na targach sprzętu elektronicznego. Ubrana z bezbłędną elegancją w strój, który, choć z pozoru skromny, bardzo sugestywnie podkreślał jej nieprawdopodobnie seksowną figurę, oparta o wysoki kontuar stoiska, ze swadą przekonywała potencjalnych nabywców o wyższości oprogramowania, które sprzedawała, nad produktami oferowanymi przez konkurencyjne firmy. Podszedł bliżej, nie dlatego, że był zainteresowany kupnem, ale ponieważ dziewczyna miała na sobie szarą tunikę z cienkiej wełnianej dzianiny, która w sposób niezwykle interesujący opinała jej pośladki. Podszedł, udając zainteresowanie tym, co mówiła. Po chwili nie musiał już udawać. Dziewczyna mówiła... porywająco. Jared stał zasłuchany. Przestał dostrzegać ponętne kształty, całkowicie skupiony na tym, jak zręcznie żonglowała argumentami, z jaką precyzją akcentowała puenty. Dowcip miała cięty, refleks bezbłędny, umysł – ostry jak brzytwa. Nie była inżynierem, ale mimo to o elektronice rozprawiała ze znawstwem, którego nie powstydziliby się jego najlepsi programiści.

Potrzebował trzech minut, żeby podjąć decyzję, że podkupi ją konkurentowi. Chciał mieć w swojej ekipie kogoś o tak wybitnej inteligencji. Bailey pracowała dla niego od trzech lat i dotąd ani razu go nie zawiodła. Od dawna planował, że pewnego dnia zaproponuje jej fotel wiceprezesa... ale ten moment jeszcze nie nadszedł. Bailey wciąż była świeżakiem. Upajała się swobodą i możliwościami, jakie dawały jej coraz bardziej eksponowane stanowiska. Jako wiceprezes byłaby niczym niestabilny ładunek nuklearny. Nie do przewidzenia, nie do okiełznania. W chwili, gdy przyszłość jego firmy zależała od zręczności, z jaką przeprowadzi negocjacje z Maison Électronique, naprawdę nie chciał podejmować takiego ryzyka. David Gagnon, choć wstępnie zainteresowany kontraktem ze Stone Industries, pozostawał nieufny. Wystarczyło niewiele, żeby go odstraszyć... a jeśli tak się stanie, o wejściu na rynek europejski Jared nie będzie miał co marzyć. Tak, to był doprawdy najgorszy moment na zmiany kadrowe, i to tego kalibru.

Niestety, wyglądało na to, że nie miał wyboru. Wbił ręce w kieszenie i jak burza wypadł z gabinetu.

– Mary, wezwij mi tu Bailey St John. Natychmiast – warknął, a asystentka aż uniosła brwi. Szef zawsze się wykazywał nienaganną kindersztubą, a dziś zachowywał się jak troglodyta, którego dręczy tęgi kac. Trudno jednak było go za to winić; prawdopodobnie przeżywał najgorszy dzień w życiu. Jakaś kobieta musiała porządnie nastąpić mu na odcisk, skoro poświęcił tyle energii, żeby stworzyć elaborat na temat tego, jak fałszywa jest płęć piękna. Podnosząc słuchawkę interkomu, Mary pomyślała jeszcze, że niemal współczuje człowiekowi, który był na

tyle lekkomyślny i głupi, żeby się włamać do poczty szefa. Biedny dureń nie wiedział, z kim zadarł. Znała swojego szefa wystarczająco dobrze, by wiedzieć z całą pewnością, że nie spocznie, dopóki nie znajdzie winnego. A kiedy dobierze mu się do skóry, tamten będzie przeklinał dzień, kiedy wszedł w drogę Jaredowi Stone'owi.

Bailey wkroczyła do gabinetu szefa krokiem szturmowca. Na podłodze z egzotycznego drewna jej szpilki wystukwały szybki rytm, który wybrzmiał w ciszy jak niecierpliwie rzucone pytanie. Och, potrafiła, kiedy chciała, zachować absolutny spokój niezależnie od okoliczności. W tej chwili jednak buzowały w niej emocje i nie zamierzała się krępować.

– Chciał pan mnie widzieć? – wypaliła, nie czekając, aż odezwie się pierwszy. – To znakomicie; skorzystam z okazji, żeby poinformować pana osobiście, że zamierzam złożyć wymówienie.

– Wymówienie? – Oparł dłonie o szeroką tafelę matowego szkła, która służyła mu za blat biurka. Oprócz wielkiego ekranu i klawiatury komputera nie było na nim niczego; Bailey wiedziała, że Jared niewiele czasu spędza zamknięty w gabinecie. Kiedy programował, lubił mieć wokół siebie ludzi, którzy nadawali na tych samych falach, wsłuchiwać się w stukot klawiszy, stłumione przekleństwa albo okrzyki triumfu. Atmosfera pracy dopingowała go bardziej niż najmocniejsza kawa. Bailey widziała nieraz, jak siedział na open space razem z inżynierami, pracując w tym samym rytmie co oni albo debatując zażarcie nad wadami i zaletami konkretnego rozwiązania.

– Owszem, wymówienie. – Nie mogła oderwać wzroku od jego dłoni. Były duże i silne, o zręcznych palcach. Sama nie wiedziała dlaczego, ich widok poruszał w jej wnętrzu jakąś ukrytą strunę. Irytowały ją. W ogóle Jared Stone ją irytował. Jeśli kaprys losu obdarzył faceta wzrostem koszykarza, gąszczem kruczoczarnych włosów i do tego oczami o tęczęwkach tak intensywnie niebieskich jak arktyczne morze, taki facet oczywiście musiał być arogancki i zadufany w sobie. Na domiar złego, Stone miał sylwetkę gladiatora, a rysy twarzy – jak wyrzeźbione w granicie. Pod szerokimi, zamasyście nakreślonymi brwiami jego oczy lśniły żywą inteligencją, mocna linia podbródka znamionowała pewność siebie, jeśli nie bezczelność, a usta... cóż, usta, twarde i zmysłowe, kojarzyły się Bailey z piaskiem plaży, gorącym w blasku południa. Było to w najwyższym stopniu irytujące. – Proszę przyjąć do wiadomości, że mam dosyć dryfowania bez sensu i celu jako pracownica pańskiej firmy.

- Co takiego? - Jared skrzywił się z wyraźnym niesmakiem. - Po pierwsze, dobrze pamiętam, że przeszliśmy na ty. Po drugie, spodziewałem się, że, kto jak kto, ale ty poznasz się na dowcipie.

- Ha, ha, ha - rzuciła bez uśmiechu. - Ubawiłam się jak nigdy w życiu. Przynajmniej nie będę już dłużej łamać sobie głowy nad tym, dlaczego wciąż omija mnie awans, chociaż zaharowuję się, pomnażając zyski twojej firmy. Po prostu dlatego, że jestem kobietą, a ty, jako znawca kobiet, wiesz, że tak naprawdę na żadnym awansie mi nie zależy. Świetny żarcik, naprawdę.

- Twój awans nie ma najmniejszego związku z tym, co napisałem w prywatnej korespondencji - oświadczył. Kiedy wyrwało jej się cyniczne parsknięcie, zmrużył tylko oczy. - Nie nadymaj się, tylko uwierz mi na słowo. I przyjmij gratulacje. Od dzisiaj piastujesz stanowisko wiceprezesa; podlega ci cały dział marketingu.

Jego słowa wybrzmiały w ciszy gabinetu twardo, niemal wrogo. Zobaczył, jak Bailey zamiera, całkowicie zaskoczona, jak jej wargi, zawsze nienagannie umalowane, rozchylają się w wyrazie zdumienia, a szare jak dym oczy ogromnieją i zapala się w nich blask tryumfu. A potem, ułamek sekundy później, dodała dwa do dwóch. Jej zmysłowe usta zacisnęły się w wąską linię, a oczy zwężyły w szparki.

- Niech zgadnę. Postanowiłeś raz w życiu posłuchać się PR-owców i zaczynasz wcielać w życie plan ratowania tyłka? - wysyczała.

- Okoliczności są sprawą drugorzędną - uciał. Głos miał pozbawiony emocji. - Oferuję ci awans. Bierzesz albo rezygnujesz.

- A co ty byś wolał? - Zrobiła krok w jego stronę. - Potrzebujesz mnie - kontynuowała, ujmując się pod boki. - Mam być twoją maskotką. Jeśli ktoś chciałby cię oskarżyć o dyskryminację ze względu na płeć, zamkniesz mu usta, pokazując dowód rzeczowy. Oto Bailey St John, osoba, której powierzyłeś kierownicze stanowisko, pomimo że ma bardzo poważną wadę: jest kobietą!

- Jeżeli jesteś choć w połowie tak inteligentna, za jaką chcesz uchodzić, dobrze wiesz, że to są szczegóły, o których za parę miesięcy, ba, tygodni, nikt nie będzie pamiętał. Owszem, potrzebuję cię na stanowisku wiceprezesa, i kropka. Reszta się nie liczy. Ważne jest natomiast to, że za tydzień mamy się zjawić w rezydencji szefa Maison Électronique, na południu Francji, i przedstawić naszą strategię marketingową. Liczę, że przestaniesz zawracać sobie głowę głupotami i weźmiesz się do roboty.

Przez długą chwilę wpatrywała się w niego bez słowa.

- W porządku - rzuciła wreszcie. Choć serce tłukło się w jej piersi jak oszalałe, głos miała idealnie spokojny. Tak, Jared jej potrzebował. Co z tego, że awans

zawdzięczała okolicznościom, które sprawiły, że praktycznie nie miał wyboru? Los rzadko robił jej prezenty. Musiałaby upaść na głowę, żeby odrzucić ten, który właśnie dostała. – Zgadza się, ale pod dwoma warunkami.

– Ach, tak? – Splótł ramiona na piersi. Nie wątpił, że warunki będą równie twarde jak ton jej głosu.

– Podwoisz moją pensję. I mianujesz mnie na stanowisko dyrektora działu marketingu.

– W Stone Industries nie mamy takiego stanowiska.

– Teraz już mamy.

Jared potrząsnął głową. Podniósł się z miejsca, przemierzył gabinet niespokojnym krokiem. Bailey pomyślała przelotnie, że jego wysoka sylwetka prezentuje się imponująco na tle panoramicznego okna, za którym rozciągał się widok na miasto. Prawdopodobnie każda inna kobieta na jej miejscu zapomniałaby języka w gębie. Ale nie ona. Jeśli Stone myślał, że ją onieśmieli... to, cóż, trafiła kosa na kamień.

– Bailey, bądźmy rozsądni – zaczął, wbijając ręce w kieszenie spodni.

– Och, ja na pewno zamierzam zachować rozsądek – uśmiechnęła się chłodno. – Jeśli nie dojdziemy do porozumienia, to nie ma sensu, żebyśmy marnowali dłużej nasz cenny czas. Za godzinę będziesz miał na biurku moje wymówienie.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia. Zmusiła się, żeby głowę nieść wysoko i nie zwolnić, choć drzwi były coraz bliżej. Szła przed siebie, z rozmyślną nonszalancją kołysząc biodrami. Z każdym krokiem jej niepewność rosła, zamieniała się w poczucie klęski.

Jared się nie odezwie. Nie powie, że zmienił zdanie i przystaje na jej warunki.

Przegrała... wszystko. Zacisnęła zęby i sięgnęła do klamki. Nie, nie odwróci się, nie pokaże po sobie rozczarowania. Jej marzenia właśnie legły w gruzach, musiała więc ratować jedyny kapitał, jaki jej pozostał – własną godność.

– Zaczekaj – zawołał za nią ochryple, i to trzysylabowe słowo sprawiło, że w jej mózgu rozbłysnął oślepiający fajerwerk triumfu.

A więc jednak. Zwycięstwo należało do niej.

– Zgoda, dostaniesz jedno i drugie – wyrzucił z siebie, mierząc ją złym spojrzeniem.

Zatrzymała się i odwróciła. Bardzo powoli. Przez chwilę patrzyła na niego bez słowa, a potem, nie spuszczając wzroku, skinęła głową.

– W porządku. Propozycję przyjmuję.

Kiedy znalazła się na korytarzu, poza zasięgiem wzroku szefa i jego siwowłosej asystentki, oparła się o ścianę i ukryła twarz w dłoniach. Usta jej drżały; przez

dobrą chwilę walczyła, żeby opanować atak szalonego śmiechu.

Bailey, jesteś panią dyrektorką - powiedziała sobie, wciąż chichocząc jak wariatka.
- Moje gratulacje.

Jej znakomitego nastroju nie psuła nawet uporczywa myśl, że właśnie zawarła pakt z diabłem. A taki pakt zawsze działał na tej samej zasadzie - spełniało się marzenie, które dotąd wydawało się nie do spełnienia. Człowiek szalał z radości. A potem, gdy przychodził czas zapłaty, okazywało się, że cena... jest piekielnie wysoka. Czy była gotowa oddać duszę?

Ruszyła korytarzem. Szła szybko, coraz szybciej, jak gdyby chciała uciec przed świadomością, że duszę już oddała. Czyż nie była zdania, że Jared Stone jest bezwstydnym, szowinistycznym wieprzem? A jednak nie mogła się doczekać chwili, kiedy będzie z nim pracować. Nie dla niego, jako jeden z armii szarych pionków, ale właśnie z nim, ramię w ramię.

ROZDZIAŁ TRZECI

Bailey musiała zmrużyć oczy, kiedy za oknem samolotu ukazała się linia brzegowa Morza Śródziemnego. Słońce stało w zenicie, przeglądając się w spokojnych turkusowych wodach, które lśniły milionem roztańczonych, oślepiających rozbłysków.

Ten widok sprawił, że niemal zapomniała o zmęczeniu. Gdy przed wieloma godzinami znalazła się na pokładzie niewielkiego prywatnego odrzutowca, Jared oświadczył jej bez wstępów, że najlepszym sposobem na zniwelowanie różnicy czasu jest sen. Właśnie dostał mejl od Davida Gagnona, z którego wynikało, że na miejscu będą mieli więcej czasu, niż się spodziewali, więc strategię omówią spokojnie, w bardziej sprzyjających okolicznościach. Teraz należało zregenerować siły. Samolot wyposażony był w salon i dwie sypialnie z wszelkimi wygodami. Bailey została zaproszona do jednej z nich, steward podał jej lekką, wykwintną kolację i wycofał się, zapewniając, że jest do usług, gdyby czegokolwiek potrzebowała. Kiedy została sama, opadła na fotel obity jasną skórą i odetchnęła... czystym luksusem. Spać jednak nie miała zamiaru. Zrzuciła pantofle na szpilekach i, z ulgą poruszając palcami u stóp, umościła się wygodnie w fotelu, z laptopem na kolanach i tacą zastawioną przekąskami w zasięgu ręki. Otworzyła folder, w którym zgromadziła wszystkie informacje na temat Davida Gagnona, jakie tylko udało jej się wyszperać w sieci, i zaczęła czytać. Och, nie wątpiła, że Jared już dawno opracował w szczegółach strategię, która miała zapewnić mu przychylność szefa Maison Électronique, gdy dojdzie do podpisania kontraktu. Jeśli jednak mogła dodać swoje trzy grosze, zrobi to. Najpierw rozpracuje teren, a potem przypuści atak. Ostatecznie, David Gagnon był mężczyzną, a ona bardzo dobrze wiedziała, czego pragną mężczyźni. Jeżeli się postara, będzie jadł jej z ręki. Godziny mijały, a ona czytała, analizowała i planowała. Cel miała jasno wytyczony -wzbudzić w Davidzie głębokie przekonanie, że kontrakt ze Stone Industries stanowi niepowtarzalną okazję rozwoju jego firmy. Odmalować przed nim wizję niebanalnego, twórczego podejścia do strategii marketingowej. Olśnić pomysłowością, nawiązując jednocześnie swobodny, osobisty kontakt, tak by David poczuł się bezpiecznie. Więcej - niech poczuje się mentorem. Ona będzie uważnie słuchać jego rad, może nawet zgodzi się z kilkoma uwagami... Zanim pilot obwieścił przez interkom, że

zaczyna podchodzenie do lądowania na lotnisku w Nicei, oczy bolały ją z braku snu, ale plan działania miała już gotowy, punkt po punkcie. Jeśli David Gagnon był taki, jak się spodziewała, powinna dopiąć swego w czasie jednego spotkania.

Jared przekona się, jak bardzo Bailey St John potrafi być skuteczna. Będzie gorzko żałował, że tak długo trzymał ją na ławce rezerwowych.

Bailey przewidywała, że do rezydencji Gagnona pojedą samochodem, okazało się jednak, że doprawdy niewiele wiedziała o prawdziwym bogactwie. Do Nicei wysłano po nich helikopter. Uśmiechnięty od ucha do ucha młody człowiek o czuprynie czarnej jak smoła wyskoczył z kokpitu, przebiegł pod wciąż kręcącym się śmigłem i wylewnie powitał gości, przedstawiając się jako człowiek do wszystkiego, w służbie u pana Gagnona. Po chwili ich bagaże były już załadowane do luku, a oni sami – zaproszeni na pokład. Podróż wzdłuż Lazurowego Wybrzeża jest o wiele przyjemniejsza, gdy nie trzeba się tłoczyć na autostradzie, oświadczył „człowiek do wszystkiego”, po czym wprawnie ujął stery i poderwał helikopter w górę. Bailey zapięła pas, opadła na oparcie fotela i zapatrzyła się w okno.

Było co podziwiać. Lecieli na tyle nisko, by dokładnie obejrzeć wybrzeże – Francuską Rivierę z jej urokliwymi miasteczkami, gdzie domy z różowego kamienia, pokryte spłwiałą od słońca dachówką, zstępowały ku morzu krętymi, ciasnymi szeregami, złociste plaże oraz przede wszystkim niewiarygodnie okazałe rezydencje. Zwykli śmiertelnicy, przemierzający Lazurowe Wybrzeże samochodem lub jakimkolwiek innym naziemnym transportem, niczego by nie dostrzegli spoza murów, ogrodzeń i kilkumetrowych ścian żywopłotów. Ale szczęśliwcy, którzy podróżowali na pokładzie helikoptera, widzieli wszystko jak na dłoni. Tarasy tonące w kwiatkach. Połacie jedwabiście gładkiej, soczyście zielonej trawy, gdzie pasły się konie albo grano w golfa. Baseny, najróżniejszych rozmiarów i kształtów, które wyglądały jak turkusowe łaty na tle ochry i zieleni. Ogrody, niektóre dzikie jak dżungla, inne eleganckie jak w Wersalu. I same domy – mocne, nowoczesne bryły albo, częściej, całe w rzeźbach, klasyczne wille zbudowane na rzymskim planie, z cienistym patiem pośrodku i bocznymi skrzydłami, strzegącymi reprezentacyjnego wejścia. Bailey patrzyła, zachwycona. To było jak sen – cudowny sen pełen słońca, piękna i niewyobrażalnego bogactwa.

A potem, o wiele za prędko, pilot obwieścił, że będą lądować – rezydencja Gagnonów na Sanit-Jean-Cap-Ferrat znajdowała się właśnie pod nimi. Tak jak nazwa wskazywała, teren posiadłości wcinał się w miękki błękit morza ostrą, poszarpaną linią skalistego wybrzeża. Kiedy śmigłowiec zniżał się, żeby usiąść na

prywatnym lądowisku, Bailey powiedziała sobie, że nie wszyscy bogacze byli tak samo bogaci. Na Lazurowym Wybrzeżu, gdzie ceny ziemi osiągały zawrotną wysokość, rezydencje mieli wyłącznie ludzie zamożni, ale mało który spośród nich mógł kupić sobie cały przylądek. David Gagnon mógł. Willa stojąca na wysokim brzegu nie była przesadnie wielka, ale niezwykle elegancka, o ścianach z jasnego kamienia i dużych oknach zasłanianych przez drewniane ażurowe okiennice. Od strony morza przylegał do niej taras, niemal tak duży jak sama willa. Gdy stanęło się przy balustradzie z klasycznych białych tralek, widok musiał zapierać dech. W dyskretnym oddaleniu, również nad brzegiem, stał podobny w stylu, nieco skromniejszy budynek, zapewne przeznaczony dla gości. Gospodarz postarał się ograniczyć do minimum ingerencję w naturalne piękno dzikiej przyrody wybrzeża, lecz zarazem, dzięki pomysłowości architektów krajobrazu, pomieścił chyba wszystkie atrakcje, jakie człowiek niewiarygodnie bogaty chciałby widzieć w swojej posiadłości. Były tu korty tenisowe i pola golfowe, garaż mieszczący kilkanaście samochodów, od najnowszych wyścigówek po zabytkowe limuzyny, była stajnia z biało ogrodzonym padokiem, baseny przystosowane do pływania sportowego i do rekreacji, a także leżaki nad brzegiem, zachęcające, żeby spędzić w nich długie chwile błogiego lenistwa. W miejscu, gdzie skaliste wybrzeże tworzyło naturalną zatokę, urządzono małą marinę; białe jachty kołysały się na falach, zacumowane do drewnianego mola. Na wysokim klifie zasadzono krzewy, których purpurowe kwiaty odcinały się pięknym kontrastem od nasyconego słońcem błękitu morza.

Bailey ostrożnie wysiadła z helikoptera i zatrzymała się, kiedy tylko dotarła poza zasięg wirujących śmigieł. Trema zaatakowała znienacka, boleśnie ścisnęła jej krtań, spłynęła po plecach bardzo nieprzyjemnym, zimnym dreszczem. Bailey zmusiła się do uśmiechu, chociaż serce tłukło jej się w piersi, niemal dławiąc oddech. Weź się w garść, dziewczyno, powiedziała sobie stanowczo, jak robiła to już nieskończoną ilość razy w życiu. Poradzisz sobie. Musisz sobie poradzić. Co z tego, że to za wysokie progi jak na twoje nogi? Nikt się nie musi dowiedzieć, że dzieciństwo spędziłaś w śmierdzącej stęchlizną przyczepie kempingowej ani co robiłaś, żeby zdobyć pieniądze na studia. Po prostu wejdiesz pomiędzy tych ludzi, śmiało, spokojnie, z podniesioną głową. I zajmij się tym, w czym jesteś naprawdę dobra.

Wielkie podwójne drzwi z masywnego drewna, prowadzące do wnętrza willi, otworzyły się majestatycznie, i stanął w nich jegomość, którego strój jednoznacznie wskazywał, że pełni w rezydencji zaszczytną funkcję majordomusa.

– Pan David Gagnon pragnie państwa serdecznie powitać, jednak z powodu

pilnych spraw nie może zrobić tego osobiście. Mam zaszczyt zastąpić go w tej roli. Zaraz zaprowadzę państwa do przeznaczonych dla nich apartamentów, gdzie będą państwo mogli wypocząć po podróży. Podamy lekki lunch. Pan Gagnon prosi, żeby się państwo rozgościli i poczuli jak u siebie w domu. Cały teren jest do państwa dyspozycji, jeśli mieliby państwo ochotę na spacer, kąpiel, partyjkę tenisa czy relaks na plaży. O godzinie dwudziestej rozpocznie się party, na które są państwo zaproszeni jako specjaliści goście pana domu.

Dziesięć minut później Bailey znalazła się w przyjemnie chłodnym wnętrzu, pachnącym limonką i kwiatami pomarańczy. Przeznaczony dla niej apartament był nie tylko luksusowy, ale też naprawdę piękny. Wnętrze utrzymane w spokojnych kolorach ziemi i wody, lekkie, rattanowe meble, białe ściany i gęszcz doniczkowych roślin – wszystko to stanowiło subtelną oprawę dla widoku, który rozpościerał się za wielkimi, panoramicznymi oknami. Morze zdawało się być tuż, na wyciągnięcie ręki. Fale nadciągały powoli, jedna za drugą, unosiły się i przewracały leniwie, w rozbryzgach piany, wypełniając salon szumem, który to przycichał, to znów potężniał, spokojny i rytmiczny niczym oddech olbrzyma. Bailey stanęła w otwartych drzwiach balkonowych, uniosła twarz i uśmiechnęła się do słońca i błękitnego nieba. Wystarczyło zrobić parę kroków po rozgrzanych kamiennych stopniach, żeby zejść na plażę, zanurzyć stopy w miękkim, ciepłym piasku...

Szkoda, że nie była tu na wakacjach.

Niestety – o beztróskim snuciu się po plaży mogła zapomnieć. O dwudziestej musiała być w pełnej gotowości bojowej. Party, wbrew określeniu, nie będzie imprezą odprężającą ani specjalnie rozrywkową. To podczas tych wieczornych godzin, sącząc drinki i udając dobrą zabawę, wykona pierwsze ruchy na szachownicy, gdzie partię rozgrywali Stone Industries i Maison Électronique. Trzeba się było starannie przygotować do akcji.

A więc najpierw – drzemka, doprawdy konieczna po niemal już dwudziestu godzinach bez snu. Potem przejrzy swój arsenał i wybierze najodpowiedniejszą broń na ten wieczór. Szeroka sofa, ustawiona naprzeciwko otwartego balkonowego okna, kusiała sprężystym materacem i stertą poduszek. Bailey ustawiła alarm w telefonie na za dwie godziny, wyciągnęła się wygodnie, okryła miękkim pledem i zapadła w sen, kołysana szumem fal.

Kiedy otworzyła oczy, wyrwana ze snu dzwonkiem budzika, sceneria za oknem uległa już subtelnej zmianie. Morze było teraz kobaltowe, odcinało się chłodną barwą od złocistego widnokręgu. Słońce chyliło się ku zachodowi. Bailey podniosła się z sofy i tęsknie popatrzyła na roztańczone fale, po których ślizgały się złote

refleksy. Uwielbiała pływać o zachodzie słońca. Albo w nocy, pod gwiazdami, gdy woda wydawała się czarna, a światło księżycy krzesło na jej powierzchni lodowate iskry. Może kiedyś, kiedy osiągnie już wszystko, co sobie wymarzyła, wyda drobną część zgromadzonego majątku na zakup jakiejś nadmorskiej rezydencji. Będzie pływać, kiedy tylko przyjdzie jej na to chęć, a potem wylegiwać się na ciepłym piasku, sączyć chłodne drinki i wspominać epickie czasy, gdy w męskim świecie wywalczyła sobie miejsce na samym szczycie.

Póki co, trzeba się zabrać do pracy, ale to nie znaczyło, że nie mogła sobie pozwolić na odrobinę luksusu. Otworzyła podręczny barek i nalała sobie kieliszek wina, a potem, sącząc powolutku aromatyczny trunek, ruszyła pod prysznic. Łazienka przypominała raczej salon, z kamienną podłogą podgrzaną do przyjemnej, letniej temperatury, ścianami, które zdobiły zabytkowe, ceramiczne kafle, i wielkim, witrażowym oknem, które wypełniało wnętrze ciepłym światłem. Bailey postawiła kieliszek na parapecie, tuż obok terakotowej donicy, w której pysznił się gęsty ciemnozielony krzew mięty pieprzowej. Zrzuciła ubranie i stanęła pod strumieniem wody, unosząc twarz ku górze i zamykając oczy. A potem za pomocą szamponu, odżywki do włosów, peelingu do twarzy i ciała oraz jeszcze kilku innych specyfików zmyła z siebie dawną Bailey - dziewczynę z głębokiej prowincji, tyleż ambitną, co zaleknioną, z głową pełną marzeń. Nowa Bailey, która zajęła jej miejsce, była tworem doskonałym. Stuprocentowo profesjonalna, lecz zarazem promieniująca delikatnym urokiem kobiecości. Seksowna, a nawet kokieteryjna, choć jednocześnie niedostępna. Kobieta z klasą, a co jeszcze ważniejsze - kobieta bez krępującej przeszłości.

Owinięta w ręcznik, przeszła do sypialni i przejrzała ubrania, starannie rozwieszane we wnękowej szafie. Aż za dobrze pamiętała czasy, kiedy za szczyt elegancji uważała bluzki z okazałymi żabotami i garsonki w wielkie kwiaty, które nosiły szacowne damy w jej rodzinnej miejscowości. Sama w tamtych latach przejawiała słabość do kowbojek z frędzlami, kolorowych, sztucznych futerek i kiecek z lycry, wyszywanych cekinami. Kiedy zaczęła stawiać pierwsze kroki w wielkim świecie, zmieniła preferencje. Na szczęście, była dobrą obserwatorką. I cholernie szybko się uczyła. Teraz doskonale wiedziała, jak za pomocą stroju podkreślić swoje atuty, jednocześnie stwarzając wrażenie niewymuszonej elegancji i dyskretnego luksusu. W garderobie miała ubrania w subtelnych odcieniach beżu i perłowej szarości, klasyczne czernie i biele. Nic krzykliwego, za to wszystko z materiałów w najlepszym gatunku.

Na wieczorną imprezę nie zamierzała się ubrać z przesadną skromnością. To

miała być jej pierwsze oficjalne wystąpienie w nowej roli i chciała pokazać, że nie boi się stanąć w świetle reflektorów. Wybrała wąską sukienkę z surowego jedwabiu, w odcieniu matowego złota, o kroju dyskretnie nawiązującym do dekadentckiego klimatu retro. Wymodelowała włosy na szczotce, tak by opadały na ramiona burzą lśniących loków, o ton jaśniejszych niż kreacja. Do tego wybrała dodatki w kolorze zmysłowego, ciemnego burgunda, takim samym jak odcień szminki. Nie włożyła żadnej biżuterii – chociażby po to, żeby rozmówcy zatrzymali dłużej wzrok na jej sylwetce, poszukując jakiegokolwiek kobiecej błyskotki i zastanawiając się, dlaczego żadnej nie widzą. Gdy szło o ozdoby, wystarczył jej ulubiony najnowszy nabytek – męski zegarek rolex na szerokiej bransoletce.

Ubrana w sukienkę i umalowana, zdążyła jeszcze użyć perfum – po kropelce na szyję oraz nadgarstki – i, wciąż boso, stała przed lustrem, kiedy zapukano do jej drzwi. Kilka energicznych uderzeń wybrzmiało tak głośno i zdecydowanie, że nie miała wątpliwości, kogo zobaczy w progu. A jednak, kiedy ujrzała wysoką sylwetkę Jareda, obleczonego w nienagannie skrojony czarny smoking, cofnęła się o krok, tłumiąc westchnienie.

Ten facet był naprawdę... szalenie irytujący. Włosy zaczesał do tyłu, co nadawało mu wygląd mafiosa, a może raczej korsarza, jeśli zauważyło się starą bliznę, która białą ukośną linią przecinała jego lewy policzek, aż po górną wargę. Ciemne ubranie podkreślało imponujący wzrost, szerokie ramiona i idealnie proporcjonalną budowę ciała. Krótko mówiąc, wyglądał bosko, i zapewne zdawał sobie z tego doskonale sprawę, bo w jego oczach widziała wyraźnie bezczelny błysk.

Cóż, nawet jeśli była pod pewnym wrażeniem, nie zamierzała trzepotać rzęsami czy rumienić się jak pensjonarka. Po pierwsze, Jared Stone interesował ją wyłącznie na płaszczyźnie zawodowej. A po drugie, nie była już naiwną dziewczeczką. Potrafiła być twardym graczem. Dlatego opanowała się natychmiast, posłała szefowi spokojne spojrzenie znad wciąż nieopróźnionego kieliszka i gestem zaprosiwszy go do środka, ruszyła przodem.

Jared też się nie odezwał; wpatrywał się w bose stopy Bailey. Były wąskie i delikatne, z paznokciami, które wyglądały jak lśniące krople czerwonego wina. Jak gdyby trochę napoju wylało się z jej kieliszka i rozprysnęło w dwa regularne wachlarzyki. Smukłe nogi ginęły pod materiałem sukienki tuż poniżej kolan, dokładnie w miejscu, gdzie łydki zwężały się wyraźnie, a skóra była najdelikatniejsza. Kreacja sugestywnie podkreślała smukłe uda i kształtny łuk bioder, a dekolt, rozcinający suknię aż po talię, ukazywał mlecznobiałą skórę

gładkich, prostych pleców. Widok hipnotyzował. Jared poczuł, że przenika go dreszcz, nagły jak dźgnięcie ostrogi. Wcisnął dłonie w kieszenie, żeby nie ulec pokusie, która sprawiała, że mrowiły go opuszki palców. Chciał dotknąć tej kobiety, poczuć jedwabistość skóry pod palcami, odnaleźć wargami subtelnie zarysowane zagłębienie kręgosłupa. Chciał zaczerpnąć w dłonie świetlistą pianę jej włosów... a potem zamknąć ją w ramionach i całować te dumne usta, upajać się nimi jak mocnym winem.

Musiał się opanować. Nie wybierał się z Bailey na randkę, tylko na spotkanie, od którego zależała przyszłość Stone Industries. A ona, choć wyglądała jak rasowa femme fatale, była tylko – tylko! – dyrektorem marketingu w jego firmie. Zamiast ekscytować się jej urodą, powinien się raczej martwić o jej kompetencje.

– Jared?

– Słucham? – Zmarszczył brwi, kiedy obróciła się nagle ku niemu.

– Nalać ci wina? Przed momentem otworzyłam butelkę. Jest znakomite.

– Dzięki, ale chyba powinniśmy już iść. – Wymownie spojrzał na zegarek. Och, z rozkoszą przedłużyłby ich intrygujące sam na sam, ale wolał nie ryzykować, że sytuacja wymknie się spod kontroli. Bailey St John w biurze, siedząca za ekranem komputera, wydawała się kimś zupełnie innym niż ta, która przed momentem otworzyła mu drzwi, bosa, z kieliszkiem wina w dłoni.

– Daj mi dziesięć sekund.

Patrzył bez słowa, jak Bailey wyjmuje z szafy parę szpilek na niebotycznym obcasie i wsuwa w nie stopy, dla równowagi opierając dłoń o ścianę, a potem prostuje się, wyższa teraz o ładnych kilka centymetrów. Nie spuszczał z niej wzroku, kiedy przeszła przez pokój pewnym, lekko rozkołysanym krokiem, podniosła swój kieliszek i upiła łyk wina.

Gdyby nie przyglądał jej się tak uważnie, na pewno by nie zauważył, że zaciska palce na nóżce kieliszka tak mocno, że zrobiły się niemal białe.

– Masz tremę?

– Ależ skąd – odpowiedziała szybko. Trochę za szybko.

– To świetnie – udał, że go przekonała. – Plan na dziś wieczór mamy prosty. Musimy tylko wy badać, jakie Gagnon ma priorytety, zwłaszcza jeśli chodzi o klientelę, dystrybucję, a także politykę związaną z ochroną środowiska. To ostatnie elementy układanki, gdy je uzyskamy, dopracujemy w szczegółach naszą prezentację. Będziemy mieć na to jutro cały ranek.

Uśmiechnęła się. Trochę zbyt szeroko.

– Pamiętam, jaki mamy plan. – Jej głos zabrzmiał sztywno. – Nie martw się,

poradzę sobie.

Zaczynał mieć co do tego lekkie wątpliwości. Bailey St John z pewnością była pracowita, błyskotliwa i ambitna, ale wyczuwał w niej jakąś niepewność – może właśnie dlatego, że tak usilnie starała się ją ukryć.

– Jasne, że sobie poradzisz – oświadczył z mocą, szukając wzrokiem jej spojrzenia. – Mało kto dorównuje ci inteligencją, o urodzie już nie wspominając. Będiesz najpiękniejszą kobietą na sali. I najmądrzejszą.

Skrzywiła zmysłowe usta w kpiącym wyrazie. W szarych oczach nie było już śladu niepewności czy tremy.

– Niezła gadka. – Przechyliła głowę, zabawnie marszcząc nos. – Wyobrażam sobie, jak świetnie działa na panienki.

– Och, nie masz pojęcia – podjął jej grę, zadowolony, że zapomniała o zdenerwowaniu. – Tym razem jednak nie ma w tym absolutnie żadnej przesady. Po prostu bądź sobą, a całe to snobistyczne towarzystwo będzie ci jadło z ręki.

– Chodźmy już – rzuciła, nie komentując jego wypowiedzi.

– Ano, chodźmy. – Otworzył przed nią drzwi i przepuścił przodem. Obyczaj nakazywał, by podał jej ramię, ale, nie wiedzieć czemu, zamiast tego wziął ją za rękę. Nie cofnęła dłoni, kiedy zamknął ją w krzepiącym, mocnym uścisku. Zgodnym krokiem ruszyli przez ogród, w kierunku głównej willi, skąd dobiegały już dźwięki muzyki i gwar rozmów, punktowany wybuchami śmiechu. Impreza rozkręcała się powoli.

Niemądrze zagapiony na niebo, gdzie nad widnokregiem gaśła luna wieczoru, Jared nie zauważył niebezpieczeństwa. Bailey okazała się znacznie bardziej czujna. Nie wyszli jeszcze spomiędzy gęstego szpaleru drzewek pomarańczowych zasadzonych wzdłuż alejki, kiedy oswobodziła dłoń dyskretnym, błyskawicznym gestem. Gdy w następnej chwili opadła ich sfera paparazzich i flesze zaczęły błyskać w półmroku z intensywnością elektrycznej burzy, odruchowo cofnął się o krok, lecz ona nawet nie drgnęła. Dumnie wyprostowana, obdarzyła intruzów uprzejmym, lekko znudzonym uśmiechem. Jak gdyby robiła to od zawsze.

– Bailey St John, pani nominacja na dyrektora marketingu Stone Industries nastąpiła dokładnie w dniu, kiedy wybuchł skandal na tle mizoginistycznej wypowiedzi pani szefa. To z pewnością nie przypadek – zatrajkotała młoda dziennikarka, podsuwając Bailey mikrofon. – Rzeczniczka największej amerykańskiej organizacji feministycznej nazwała panią maskotką Jareda Stone’a. Czy zechce pani to skomentować?

Bailey spojrzała prosto w obiektyw kamery.

Gdyby chciała być szczerą, powinna powiedzieć, że, niestety, musi się w stu procentach zgodzić z tym określeniem. Ale to nie był czas na szczerą, lecz na dyplomację.

– Moim zdaniem – zaczęła powoli, a tłumek reporterów otoczył ją ciasnym kręgiem, najeżonym mackami mikrofonów, wpatrzony w nią wielkimi, czarnymi ślepiami kamer i aparatów – nie ma najmniejszych wątpliwości co do tego, że pan Jared Stone popełnił błąd, używając bardzo niefortunnych sformułowań w swoim osławionym tekście, który obiegił internet, choć w zamierzeniu autora nie miał wyjść poza ramy prywatnej korespondencji. Jednak pan Jared Stone niezwłocznie oficjalnie przeprosił wszystkich, którzy mogli się poczuć urażeni jego wypowiedzią. Uważam, że to zamyka sprawę i dalsze dyskusje na ten temat są bezpodstawne. Co zaś do mojej roli, myślę, że jeszcze jest za wcześnie na przyklejanie etykietek; w każdym razie byłabym wdzięczna, gdyby opinię o mnie wyrobiono sobie na podstawie moich osiągnięć, a nie niezależnych ode mnie okoliczności, w których objęłam stanowisko dyrektora do spraw marketingu. Od siebie dodam jeszcze jedno: Stone Industries to świetna, prężnie rozwijająca się firma, która jest na dobrej drodze, żeby zostać światowym liderem produkcji spersonalizowanego sprzętu elektronicznego. Mam zamiar dołożyć wszelkich starań, żeby jej sukces był też po części moim sukcesem, niezależnie od tego, czy podzielam, czy też nie, prywatne poglądy jej szefa i założyciela.

Zamilkła, a gdy dziennikarze ruszyli do ataku, wykrzykując pytania, uniosła tylko dłonie.

– Dziękuję państwu, to wszystko.

Jak belferka przywołująca do porządku niesforną klasę, pomyślał Jared z mimowolnym podziwem. W następnej chwili znalazł się w oku cyklonu. Paparazzi, uznawszy widocznie, że z Bailey niczego już nie wycisną, rzucili się polować na grubego zwierza, czyli na niego.

– Co skłoniło pana do wyrażenia tak skrajnych opinii na temat płci pięknej?

– Czy określiłby pan siebie jako bojownika o prawa uciśnionych mężczyzn?

– Dlaczego...

– Jak pan motywuje...

– Niech pan wyjaśni...

Poczuł, że kręci mu się w głowie. Jeżeli czegoś nie potrafił, to odpowiadać na głupie pytania. Zwłaszcza gdy zadawano je wrzaskliwym chórem. Skoro jednak Bailey umiała sobie poradzić z dziennikarzami, on nie mógł być gorszy.

– Przede wszystkim chciałbym... – zaczął i utknął. Nie mógł przecież dokończyć: „...żeby was piekło pochłonęło”.

A jednak jego życzenie, choć niewypowiedziane, nagle się spełniło. Paparazzi rozpierzchli się jak stado wróbli, spłoszeni przez zwarty, bezlitośnie nacierający kordon ochroniarzy. Po chwili Jared i Bailey byli już otoczeni przez ciemno ubranych mężczyzn, zwalistych jak głazy i podobnie jak one niewzruszonych.

– Proszę o wybaczenie. – David Gagnon, szpakowaty mężczyzna w sile wieku, którego sympatyczną twarz zdobił nos godny Cyrana de Bergerac i jowialny uśmiech, szedł w ich stronę, rozkładając ramiona w pojednawczym geście. – Wygląda na to, że moja córka nieco inaczej niż ja pojmuje znaczenie słowa „prywatność”. Wpuściła dziennikarzy na teren posiadłości, bo, jak twierdzi, szanuje wolność słowa. A prawda jest taka, że po prostu ma z panem na pieńku, panie Stone. U nas w Europie kobiety są wyzwolone i robią, co chcą. Teraz wszystkie marzą o tym, żeby, przepraszam za wyrażenie, powiesić pana za jaja.

– To przejściowy kryzys. – Jared zrobił dobrą minę do złej gry. Dopóki David Gagnon nie złożył swojego podpisu pod kontraktem, nie opłacało się wchodzić z nim w polemikę.

– Oby miał pan rację, Stone. Bo póki co zraził pan, lekko licząc, połowę potencjalnej klienteli. Nie jestem pewien, czy ten „przejściowy kryzys” nie wykończy pańskiej firmy. Historia zna takie przypadki.

– Z pewnością, ale nasz przypadek jest zupełnie inny – odezwała się Bailey, płynnie przechodząc na francuski. Mówiła bezbłędnie, z pięknym, paryskim akcentem. – Kiedy przedstawimy nasz plan marketingowy, wyzbędzie się pan wszelkich wątpliwości. Kobiety nie są głupie, panie Gagnon. Zaręczam, że pomimo całej słuszności ich oburzenia będą potrafiły docenić dobry produkt. A my wiemy, jak do nich dotrzeć.

Jared nie odezwał się. Uznał, że wtrącając swoje trzy grosze, tylko zepsułby efekt. I miał rację. Widząc, jak Gagnon rozpromienia się, skupiając całą uwagę na Bailey, pomyślał przelotnie, że jej nie docenił. Warta była tego, żeby potroić, a nie tylko podwoić jej pensję.

– Gdzie byłaś przez całe moje życie, piękna pani? – Starszy pan położył dłoń na sercu i skłonił się dwornie, niczym oksytański trubadur. – Zakochałem się od pierwszego wejrzenia.

Bailey z wdziękiem wykonała staroświecki dyg, a jej oczy błyszczały humorem.

– W zamorskim kraju, jak każda szanująca się księżniczka – rzuciła swobodnie.

– Och, zna pani naszą literaturę. – David Gagnon nie byłby południowcem z krwi

i kości, gdyby natychmiast nie rozpoznał nawiązania do średniowiecznych ballad. – Pierwszy raz spotykam Amerykankę, która nadaje na tych samych falach co ja.

Jared pomyślał ponuro, że znów się pomylił. Jego dyrektor do spraw marketingu warta była nie potrójnej, a poczwórnej pensji. Ciekawe, jakie jeszcze sztuczki chowała w zanadrzu?

– Co pani robi w towarzystwie najbardziej kontrowersyjnego mężczyzny na imprezie? – indagował David.

– Pal sześć kontrowersyjność – powiedziała Bailey lekko. – Ważna jest inteligencja. Muszę wyznać, że ekscytują mnie możliwości... mózgu tego człowieka.

Kiedy zmierzyła Jareda ironicznym, przesadnie sugestywnym spojrzeniem, uznał, że przesadziła. Och, był pewien, że gdyby tylko mógł wrócić z nią do gościnnego apartamentu, bez trudu skłoniłby ją, żeby przyznała, że nie tylko jego mózg ją ekscytuje. Taaak, to byłaby bardzo interesująca chwila...

Imponującym wysiłkiem woli zignorował coraz bardziej kuszące wizje, które podsuwała mu wyobraźnia.

– Ma pan przepiękną posiadłość – wmieszał się do rozmowy. – Jesteśmy wdzięczni za zaproszenie.

– Och, cała przyjemność po mojej stronie – odwdzieczył się uprzejmością David. – Kiedy ludzie dowiedzieli się, że niejaki Jared Stone figuruje na liście gości, przybyli tłumnie jak nigdy. Jedni są zachwyceni, inni zgorszeni, ale wszyscy chcą z panem zamienić choć kilka słów.

Na ogromnym tarasie podawano już aperitif; w łagodnym świetle ozdobnych lampionów goście przechadzali się i gawędzili. Kelnerzy serwowali wino, szampana oraz wytworne tartinki wielkości paznokcia. Jared nie bardzo rozumiał, dlaczego ktokolwiek miałby ochotę rozmawiać akurat z nim, skoro wystarczyło się rozejrzeć, żeby dostrzec znanego reżysera filmowego, laureata Oscara sprzed roku, słynną parę hollywoodzkich aktorów, i, o ile wzrok go nie mylił, kapitana włoskiej drużyny piłkarskiej. A jednak – spędził bitą godzinę, bombardowany entuzjastycznymi komentarzami i gorzkimi uwagami na temat swojej „Deklaracji programowej”. Męczył się jak potępieniec, żeby zniechęcić rozmówców do rozwijania tematu, nie wychodząc przy tym na ostatniego gburę. Kiedy zaproszono gości, żeby zajęli miejsca za stołem, odetchnął z ulgą. Był wykończony.

Jak się okazało, jego radość była przedwczesna. Posadzono go obok Micheline, córki pana domu, zadeklarowanej feministki. Czy David Gagnon chciał sobie w ten sposób zażartować? Cóż, Jaredowi w ogóle nie było do śmiechu. Czas włókł się niemiłosiernie. Szef kuchni, gorliwy adept nouvelle cuisine, przeszedł samego

siebie, serwując przystawki, a potem zupeł, lecz zarazem utrzymując biesiadników w głębokim przekonaniu, że choć podano im na talerzach istnie dzieła sztuki, nie zjedli praktycznie nic. Jaredowi było dokładnie obojętne, co je. Nawet gdyby podano jego ulubiony krwisty stek z argentyńskiej wołowiny, nie byłby w stanie się nim delektować. Nie podczas kazania, które prawła mu Micheline od chwili, gdy ich sobie przedstawiono. Francuzka była śliczna; miała ciemne oczy o kształcie migdałów i zalotną grzywkę. Co z tego, skoro postawiła sobie za cel, żeby go udręczyć?

– Rozumiem, że usiłował pan być zabawny – mówiła gorzko. – Pańscy kumple z pewnością rechotali, ale za ten ubaw zapłacą kobiety. Podkopał pan... ośmieszył... zlekceważył...

Oskarżenia ciągnęły się niekończącą, ponurą litanią. Kiedy na stół wjechało danie główne – młode perliczki nadziewane fois gras i truflami – był gotów obnażyć grzbiet i poddać się publicznej chłości, jeśli tylko miałby gwarancję, że Micheline wreszcie zamknie swoje koralowe usteczka.

Punktował jej uwagi ogólnikowymi półsłówkami i ukradkiem przyglądał się Bailey St John. Oczywiście, została posadzona obok Davida i krótko po rozpoczęciu biesiady oboje zatonęli w ożywionej rozmowie. Ze swojego miejsca Jared słyszał tylko miękkie dźwięki francuszczyzny i perlisty śmiech Bailey. Wyglądało na to, że pani dyrektor do spraw marketingu znakomicie się bawi. Z wdziękiem skubiąc coraz to nowe przysmaki, umiejętnie podtrzymywała rozmowę, rzucając co pewien czas jakiś lekki, żartobliwy komentarz czy zadając pytanie. David mówił chętnie i dużo, gestykulował ze swadą, wyraźnie upajając się uwagą, jaką poświęcała mu piękna dziewczyna. A ona śmiała się, trzepotała rzęsami albo mrużyła oczy, mówiąc coś, co sprawiało, że śmiał się z kolei on.

Jared czuł, że perliczka staje mu kością w gardle. St John najzwyczajniej w świecie kokietowała starego satyra! W świecie biznesu wszyscy wiedzieli, że David, który stracił żonę przed dwudziestu laty, był zagorzałym wielbicielem dam, a jego główną słabość stanowiły blondynki. Natomiast to, że pani dyrektor do spraw marketingu jest zwykłą flirciarą, było nowym odkryciem, które ani trochę się Jaredowi nie podobało.

Micheline zmierzyła Davida i Bailey długim spojrzeniem i uniosła znacząco brwi.

– Widzę, że również gdy chodzi o strategię w biznesie, hołduje pan obrzydliwym szowinistycznym zasadom – syknęła, krzywiąc usta z niesmakiem. – Podsuwa pan mojemu ojcu tę lalę na tacy, dobrze wiedząc, że kiedy widzi seksowną blondynkę, traci rozum.

Tym razem Jared zrezygnował z półsłówki.

– Ta „lala” jest dyrektorem w mojej firmie – powiedział twardo. – I seksowny wygląd to jej drugorzędny atut, bo ma łeb nie od parady. Niewielu znam ludzi tak inteligentnych jak ona.

Była to prawda, ale nie cała. Jared nie dodał, że nie zna nikogo, kto irytowałby go tak jak Bailey St John. O czym, do diabła, konferowała przez cały czas z Gagnonem? Powinien być przy tej rozmowie, posterować nią w odpowiedni sposób. Nie miał żadnej pewności, czy Bailey poradzi sobie z tym zadaniem, a podobna okazja mogła się już nie powtórzyć.

Po daniu głównym przyszła kolej na sałatę i sery, a potem na deser – gruszki duszone w białym winie, z kulką lodów waniliowych i gorącym, czekoladowym sosem. Choć były to prawdziwe delicje, Jared siedział jak na szpilkach. Kolacja zdawała się nie mieć końca. Kiedy kelnerzy zaczęli roznosić kawę i likiery, miał ochotę wyć. Nie mógł uwierzyć swemu szczęściu, kiedy David powstał, by zaprosić gości na parkiet, gdzie orkiestra niebawem miała zacząć grać do tańca. Ci, którzy nie gustowali w takiej rozrywce, mieli do dyspozycji stoły bilardowe, palarnię i ogród.

Jared nie czekał ani chwili dłużej. Gdy tylko Bailey podniosła się z krzesła, dopadł jej jednym susem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

– Mogę cię prosić do tańca? – Choć skłonił się elegancko, ton jego głosu przypominał warknięcie.

Skinęła głową, więc podał jej ramię i idąc wielkimi krokami, niemal zawlókł na taras, skąd dobiegały pierwsze dźwięki muzyki. Kiedy znaleźli się na parkiecie, gwałtownie przyciągnął ją do siebie i objął w talii, kładąc dłoń na jej nagich plecach. Orkiestra zagrała tango argentyńskie i Jared musiał uznać, że ogniste, niemal gniewne nuty znakomicie pasują do jego nastroju.

– Wszyscy przy stole widzieli, jak świetnie się bawisz. – Ruszył posuwicie, wykonując agresywną salidę, zmuszając Bailey, żeby cofała się przed nim, idąc tyłem. Dotrzymała mu kroku. Nogi stawiała pewnie, z gracją, krzyżując kostki, żeby zaakcentować dynamizm melodii.

– Nasz plan na dziś wieczór polegał na tym, żeby wybadać teren – powiedziała spokojnie, unosząc powieki, żeby spojrzeć mu w oczy. – I właśnie to robiłam.

– Och, trzeba przyznać, że szło ci to wręcz nieprzyzwoicie dobrze – mruknął, okręcając ją w zawrotnym młyńcu, najpierw w jedną, potem nagle w drugą stronę. – Nagle okazało się, że nie tylko mówisz płynnie po francusku, ale w dodatku jesteś znawczynią poezji trubadurów!

– O znajomości francuskiego pisałam w moim CV; najwyraźniej nie zadałeś sobie trudu, żeby je przeczytać. – Bailey uśmiechnęła się lekko. Ich czoła niemal się stykały, więc Jared nie mógł oderwać wzroku od jej ust. Były jak dojrzałe, nabrzmiące sokiem wiśnie. – A literaturę starofrancuską wybrałam sobie jako dodatkowy przedmiot na studiach. Do głowy mi nie przyszło, że przyda mi się to kiedyś w prawdziwym życiu. No i proszę, okazało się, że David Gagnon wariuje na jej punkcie.

– Mnie się wydaje, że David Gagnon zwariował na zupełnie innym punkcie. – Jared podparł ramieniem plecy Bailey, a ona bez wahania wygięła się w tył, aż włosy spłynęły w dół złocistą falą, prawie dotykając podłogi. – Czy oświadczył się już o twoją rękę? Bo jeśli tak, to gratuluję. Znakomita partia.

– Nie opowiadaj głupstw. – Wyprostowała się gwałtownie i natarła na niego, unosząc nogę i oplatając nią jego biodra. Jared chyba tylko cudem nie zmylił kroku.

– Owszem, pozwoliłam Gagnonowi, żeby mnie emablował, w granicach

niezobowiązującej, towarzyskiej rozrywki. A sama odwaliałam w tym czasie kawał roboty. Wyobraź sobie, że poza niewątpliwą urodą posiadam także mózg i potrafię się nim sprawnie posługiwać.

– Och, z całą pewnością.

– A żebyś wiedział. Myślę, że udało mi się uzyskać pełny wgląd w sposób myślenia Davida, jeśli chodzi o interesujące nas kwestie. Rzuciłam kilka pomysłów, żeby zobaczyć, jak zareaguje...

– Przedstawiłaś mu nasze pomysły? Bez konsultacji ze mną? – Poczuli, że zalewa go krew. Zacisnął dłonie na jej talii, a ona uśmiechnęła się bezczelnie, otoczyła jego kark ramionami i oderwała nogi od ziemi. Co miał robić? Obrócił się w efektownym piruecie, unosząc Bailey w górę. Goście zgromadzeni wokół parkietu zaczęli wiwatować, co spotęgowało tylko jego frustrację.

– Nieźle tańczysz – syknęła Bailey, mrużąc oczy. – Gdzie się uczyłeś tanga?

– W Ameryce Południowej – warknął w odpowiedzi. – Kiedy zdałem maturę, włóczyłem się trochę po świecie.

– Myślałam, że jeździłeś do Azji.

– Tam też. A ty? Gdzie się uczyłaś tanga?

– Och, nie masz pojęcia, ilu przydatnych rzeczy można się nauczyć od koleżanek w czasach studenckich – rzuciła, odwracając wzrok.

– Wróćmy do tematu. – Czuł, że Bailey coś ukrywa, ale nie zamierzał drążyć. Miał ważniejsze sprawy na głowie. – Nie podoba mi się twoja samowolka. Nie masz doświadczenia. Powinnaś trzymać się planu, zamiast wymyślać Bóg wie co.

– Ale David był zachwycony. Przyklasnął właściwie wszystkim pomysłom, o których wspomniałam, a wierz mi, mam dość doświadczenia, żeby rozpoznać, czy jego entuzjazm był szczery.

– To wspaniale. – Zacisnął szczęki, siląc się na cierpliwość. – O jakich pomysłach mówimy? Tych, które mamy przygotowane w prezentacji, czy też o przebłyskach twojego własnego geniuszu?

– Rzeczywiście, wspomniałam jedną koncepcję, która ostatnio wpadła mi do głowy – przyznała z wahaniem. – Chodzi o to, że moglibyśmy umieszczać stoiska z naszym sprzętem w klubach fitness, zwłaszcza tych, które oferują zajęcia tai-chi i kursy jogi. Myślę, że grupy docelowe są w dużej mierze wspólne...

– Nie sprzedajemy jarmarcznych gadżetów ani batonów energetycznych, więc nie mamy w planach rozstawiania żadnych straganów – uciął. – Ogarnij się, St John. Wróć do rzeczywistości.

– Rozkaz, szefie. – Skrzywiła usta w cynicznym grymasie. – Mam tylko małą

prośbę. Kiedy odważysz się użyć wyobraźni, zamiast walić jak taran do wyznaczonego celu, daj mi znać. Zaręczam, że Stone Industries ogromnie na tym zyska.

Jared chciał coś powiedzieć, ale orkiestra zakończyła utwór i Bailey wyswobodziła się z jego objęć.

– David jest zdania, że ekologia to ważna rzecz, ale zdaje sobie sprawę, że tylko pewna grupa konsumentów jest gotowa zapłacić więcej za produkty, które są innowacyjne właśnie w tej dziedzinie. W jego przekonaniu należy zróżnicować ofertę – oświadczyła, po czym obróciła się na pięcie i ruszyła przez taras w kierunku oświetlonego lampionami kontuaru, gdzie rozdawano napoje chłodzące.

Jared, chcąc nie chcąc, poszedł za nią. Był w coraz podlegszym humorze, bo zaczynała go dręczyć myśl, że Bailey może mieć rację. Poprosił o zimne piwo i dołączył do niej. Stała, opierając łokcie o kamienną balustradę, zapatrzona na ciemne morze, z wysoką szklanką lemoniady w dłoni. Liczył na chwilę spokojnej rozmowy, ale obok niego zaraz zmaterializował się David, który z kolei sącył burbona.

– Muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem pani dyrektor marketingu – powiedział sugestywnym szeptem. Po nieufności, którą okazywał Jaredowi na początku imprezy nie było już śladu. – Pański ekshibicjonizm w internecie był, przyznaję, wpadką z gatunku bardzo niefortunnych, ale zatrudnienie panny St John to posunięcie mistrzowskie. Dziewczyna naprawdę zna się na rzeczy, jest bystra jak iskra, i, Boże odpuść, diabelnie seksowna. Ale najważniejsze, że stanowicie zgrany zespół. Widziałem was razem na parkiecie. Jeżeli równie dobrze radzicie sobie na posiedzeniach zarządu, możecie być pewni sukcesu!

Jared uśmiechnął się, ale nie skomentował. Z niepokojem myślał o tym, że następnego dnia on i Bailey będą musieli przedstawić propozycję współpracy decydom Maison Électronique. Prezentacja, obszerna i szczegółowa, była przygotowana już dawno, szkopał w tym, że Bailey zajmowała wtedy inne stanowisko i nie brała udziału w jej redagowaniu, zaś po numerze, który wykręciła podczas kolacji, stracił nadzieję, że zechce się ograniczyć do wygłoszenia zadanego tekstu. Przewidywał, że czeka go prawdziwa batalia, jeśli chciał przekonać panią dyrektor, żeby trzymała się planu.

– Ale oto i ona. – David uśmiechnął się szeroko, dostrzegając Bailey. – Moi drodzy, usiądźmy sobie gdzieś i porozmawiajmy. Dlaczego nie mielibyśmy skorzystać z okazji, żeby się lepiej poznać, zanim przystąpimy do twardych negocjacji?

Kilka minut później siedzieli przy niewielkim stoliku ustawionym nieco na uboczu,

za dyskretną zasłoną bajecznie pachnącego wiciokrzewu. Bailey czuła, że jest w swoim żywiole. Po lewej stronie miała genialnego, ale lekko introwertycznego programistę, a po prawej - spontanicznego ekscentryka i wytrawnego biznesmena. Trzeba było sterować rozmową tak, żeby tych dwóch mogło się porozumieć. Albo lepiej - żeby mieli wrażenie, że nadają na tych samych falach. A ona potrafiła tego dokonać. Musiała zmobilizować całą swoją wiedzę, dowcip i refleks, ale to dzięki jej subtelnemu wpływowi rozmowa toczyła się wartko i swobodnie, punktowana wybuchami szczerego śmiechu. Kiedy kelner podszedł do stolika, poprosiła o wytrawne martini z oliwką, a potem sączyła je powoli, delektując się mocnym, wyrazistym smakiem. Coś szumiało jej w głowie, ale to nie był alkohol, tylko triumf. Czuła się... niezastąpiona. I potężna. To, co się działo, było jak magia. Jej własna magia. Miała w swojej mocy potężny żywioł ludzkiej myśli.

- Alexandre, mój pierworodny, jak zwykle się spóźnia. - David zerknął na ekran swojego smartfona. - Właśnie pisze, że dołączy do nas dopiero jutro późnym wieczorem. Chciałbym, żebyśmy się wstrzymali z negocjacjami do jego przyjazdu. Zróbcie sobie jutro dzień wolny; moja skromna posiadłość jest do waszej dyspozycji.

- Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło - uśmiechnął się Jared. - Chętnie skorzystamy dzień dłużej z pańskiej wspaniałej gościny. Widziałem pole golfowe i...

- Robi wrażenie, prawda? - podchwycił Francuz, uśmiechając się szeroko. - Urządziłem je rok temu, przedtem były tu nieużytki. Pan gra...?

- Owszem, zdarza mi się.

- Co pan powie na partyjkę jutro, o siódmej rano?

- Doskonały pomysł. - Jared pociągnął łyk piwa.

- A więc jesteśmy umówieni.

- Musi pan być zadowolony, że syn interesuje się pracą w rodzinnej firmie - rzuciła Bailey, siląc się na lekki ton. Wiadomość o pojawieniu się nowego gracza mocno ją zaniepokoiła; sytuacja zaczynała się niepotrzebnie komplikować.

- Póki co, Alexandre jest zainteresowany przede wszystkim wydawaniem pieniędzy, które przynosi działalność rodzinnej firmy - przyznał David z rozbijającą szczerością. - Ale to zdolny biznesmen i najwyższy czas, żeby zrobił użytek ze swojego wykształcenia. Ja nie będę żył wiecznie, za kilka lat syn zajmie moje miejsce. Zanim to nastąpi, powinien poznać, czym jest ciężar odpowiedzialności za kluczowe decyzje. Dlatego postanowiłem, że to on poprowadzi negocjacje w sprawie partnerstwa Maison Électronique i Stone Industries. Ja zadowolę się głosem doradczym.

Bailey z trudem zdobyła się na entuzjastyczny uśmiech. A więc intuicja jej nie myliła – sytuacja się skomplikowała.

– Z przyjemnością poznamy pańskiego syna. – Jared zdawał się nie dostrzegać problemu.

– Jestem pewien, że przypadniecie sobie do gustu – ucieszył się David. – Alexandre jest równie ambitny jak pan. I tak samo lubi wygrywać.

– Na szczęście nie stoimy po dwóch stronach barykady – zauważył Jared. – Jestem pewien, że kiedy podpiszemy kontrakt, obaj poczujemy się jak zwycięzcy.

Było dawno po północy, kiedy Jared i Bailey pożegnali się i ruszyli do gościnnego domu. Bailey umierała z ochoty, żeby już wreszcie móc zdjąć buty na obcasach, przebrać się w coś wygodnego i wyciągnąć na łóżku. Jared milczał, więc nie odzywała się też i ona; idąc ramię w ramię powoli zanurzali się w aksamitną noc, gdzieś rozświetlaną łagodnym blaskiem ogrodowych latarni. Wkrótce odgłosy zabawy umilkły w oddali i ogarnęła ich cisza, wypełniona tylko szumem bliskiego morza. Bailey miała wrażenie, że obcasy jej butów stukają przeraźliwie głośno, a mężczyzna idący obok niej porusza się bezszelestnie jak cień. Pomyślała, że są sami w wielkim, ciemnym ogrodzie i ta myśl spłynęła dreszczem po jej nagich plecach. Jared był tak blisko, że czuła ciepło bijące od jego ciała, delikatną smużkę zapachu wody kolońskiej... Jak by to było, gdyby jej teraz dotknął? Gdyby ją objął i pocałował? Przygryzła usta; wargi pulsowały gorącą, drapieżną tęsknotą.

Co się z nią, do diabła, dzieje?

Zanim zdążyła się przywołać do porządku, znaleźli się na progu willi. Jared bez słowa otworzył drzwi i przepuścił ją przodem.

– Dobranoc – wydusiła i, nie czekając na odpowiedź, pospieszyła do swojego apartamentu.

– Bailey.

Aż podskoczyła, słysząc jego głos tuż za plecami.

– Słucham...? – Obróciła się gwałtownie i urwała, kiedy jej wzrok napotkał jego spojrzenie. Oczy miał pociemniałe, granatowe jak nocne niebo i pełne napięcia. Czy tylko tak się jej wydawało, czy też naprawdę widziała w nich gniew? Chciała się cofnąć o krok, ale za plecami poczuła chłód kamiennej ściany. Stała więc nieruchomo, wpatrzona w niego, a serce tłukło jej się w piersi jak spłoszony ptak.

– Dodaj ten pomysł z klubami fitness do prezentacji – usłyszała. – Dopracuj, wyczeluj i niech szafa gra. Będziesz miała na to czas jutro rano. Spotkamy się o dziesiątej, żeby przećwiczyć nasze wystąpienie. Mam nadzieję, że do tej pory

zdażę już dopieścić ego Davida, przegrywając z nim w golfa. I jeszcze jedno... – zamilkł na chwilę, a Bailey bezwiednie rozchyliła usta i wstrzymała oddech. – Nigdy więcej nie przedstawiaj klientom własnych pomysłów, zanim nie skonsultujesz ich ze mną, jeśli nie chcesz, żeby twoja kariera na stanowisku dyrektora była jedną z najkrótszych w historii.

Obrócił się na pięcie i odszedł, a ona nadal nie mogła ruszyć się z miejsca. Wciąż słyszała echo jego lodowatego głosu. Nogi miała jak z waty. Dopiero kiedy trzasnęły drzwi sąsiedniego apartamentu, otrząsnęła się z letargu. Jej dłonie drżały lekko, kiedy wyjmowała klucz z torebki i przekręcała go w zamku. Znalazłszy się w zaciszu własnego lokum, zrzuciła buty, nie zapalając światła, podeszła do okna i przycisnęła rozpalone czoło do chłodnej szyby. Na nocnym niebie lśnił księżyc w drugiej kwadrze, nieregularny, jeszcze nie do końca okrągły, niczym oszlifowany przez morze świetlisty bursztyn. Bailey długą chwilę patrzyła, jak złociste odbłaski tańczą na falach, znacząc lśniącą ścieżkę, biegnącą po wodzie aż po horyzont. Musiała się uporać z emocjami.

Rozpierała ją duma, w głowie szumiała euforia. Jared Stone, apodyktyczny i uparty Jared Stone przyznał jej rację. Jej własny, autorski pomysł miał się znaleźć w oficjalnej prezentacji oferty partnerstwa z Maison Électronique. I dobrze, bo od początku projekt wydawał jej się mało ciekawy; rzetelny, owszem, ale suchy i zachowawczy, żeby nie powiedzieć – drętwy. Ten gest ze strony szefa napawał optymizmem. Bailey nie mogła się doczekać jutra i wspólnej pracy nad prezentacją. Chyba niepotrzebnie tak ją zaniepokoiło pojawienie się nowego gracza, Alexandre'a. Już jej głowa w tym, żeby oferta Stone Industries była po prostu... nie do odrzucenia. Jeśli młody Gagnon miał żyłkę biznesmena, podpisze kontrakt, nie robiąc najmniejszych trudności.

Tak, jej zawodowa przyszłość jawiła się w zdecydowanie jasnych barwach. Dlaczego więc, pomimo radości, czuła się rozbita? Dlaczego jej serce wciąż łomotało w piersi, a policzki płonęły gorącym rumieńcem? Odpowiedź była prosta. Przed chwilą, w holu, myślała, że Jared zamierza ją pocałować. A ona była więcej niż chętna, żeby ten pocałunek odwzajemnić. Mało tego, gdyby zaprosił ją do swojej sypialni, udałaby się tam tanecznym krokiem... Tymczasem on myślał wyłącznie o pracy.

Dobrze, że tylko ona jedna wiedziała, jaką zrobiła z siebie idiotkę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Bailey obudziła się, gdy sypialnię wypełniał różowy blask wczesnego poranka. Była nadspodziewanie wypoczęta i pełna animuszu; noc, wbrew obawom, przespała kamiennym snem, dającym ukojenie, optymizm i świeżą energię. Podniosła głowę z poduszki, która musiała być wypełniona prawdziwym gęsim pierzem, tak cudownie była miękka, lekka i puszysta. Balkonowe okno naprzeciwko łóżka, lekko uchylone, wpuszczało do wnętrza chłodny powiew, niosący rześki zapach bliskiego morza i słodką woń kwitnących drzewek pomarańczy. Bailey przeciągnęła się, uśmiechnięta do własnych myśli.

Doprawdy, daleko zaszła z dusznego, śmierdzącego odpadkami i uryną kempingu na mokradłach Everglades. Przyczepa, w której gnieździł się z matką, ojcem i siostrą, była chyba niewiele większa od łoża, w którym spędziła tę noc. Zamyślona, włożyła miękkie spodnie z szarego dżerseju i szarą tunikę z kapturkiem. Kiedy przekonała się, że jakaś dobroczynna, niewidzialna ręka zaopatrzyła aneks kuchenny w dzban świeżo zaparzonej aromatycznej kawy oraz tacę ze śniadaniem, uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Z tacą w rękach, a laptopem pod pachą wyszła na taras i ułożyła się wygodnie w wiklinowym fotelu. Zaraz zabierze się do pracy, tylko najpierw spokojnie wypije pierwszą filiżankę kawy, rozkoszując się łagodnymi promieniami porannego słońca, i może skubnie co nieco z pyszności, które znalazła na tacy. Były tu świeżo upieczone, jeszcze ciepłe rogaliki, złociste masło i kilka rodzajów konfitur, od jasnożółtych, cytrynowych, po niemal czarne - z jeżyn. Były też cudownie soczyste czerwone pomarańcze, dojrzałe brzoskwinie i plastry świeżego ananasa.

Bailey wgrzyła się w cząstkę pomarańczy i aż przymknęła oczy z ukontentowania. Naprawdę, daleko zaszła z rodzinnego Everglades. Choć przecież, uczciwie powiedziawszy, jej dzieciństwo miało też swoje jasne momenty. Uwielbiała na przykład te dni, kiedy nie było lekcji i pozwalano jej przesiadywać na zapleczu salonu fryzjerskiego, w którym pracowała jej matka. Mała Bailey bazgrała nieuważnie w zeszytach ćwiczeń, dla zabicia czasu rozwiązując zadania z matematyki, fizyki i chemii, ale kiedy tylko w salonie pojawiała się klientka, nadstawiała ucha, żeby posłuchać, jak kobiety plotkują. Efekt był taki, że co roku już w listopadzie miała przerobiony cały program swojej klasy z ulubionych

przedmiotów ścisłych, zaś jej wiedza o życiu z każdym dniem zwiększała się w postępie geometrycznym. Klientki obgadywały mężów i kochanków, paplały o zakupach, dzieciach i teściowych, a matka Bailey uwijała się z nożyczkami, wałkami oraz farbą, szybka i zręczna, dowcipna i pełna wigoru. Zawsze umiała sprawić, że nawet najbardziej zdołowana klientka zaczynała się uśmiechać. Po chwili chichotały obie, opowiadając sobie co smaczniejsze historie z życia. Bailey uwielbiała radosny, zawadiacki błysk w oczach mamy, jej włosy, które każdego miesiąca zmieniały kolor, a raz nawet były seledynowe. I to, że rzeczy naprawdę smutne potrafiła obrócić w żart. Na przykład awantury, które regularnie wybuchały w domu, kiedy ojciec wracał z podróży i część utargu przeznaczal na alkohol. Nie był typem jowialnego pijaczyny; whisky sprawiała, że stawał się agresywny. Bailey bała się go jak ognia, ale potrafiła siedzieć cicho. Jej siostra, która chodziła jeszcze do przedszkola, zawsze uderzała w płacz. Ojciec wpadał wtedy w jeszcze gorszą furję, więc mama zabierała córki i szybko prowadziła do sąsiadki, zapewniając, że wszystko będzie dobrze. I rzeczywiście było, jeśli nie liczyć jej zapuchniętych oczu następnego ranka i siniaków, które maskowała pod grubą warstwą pudru. Potem przychodził kolejny tydzień, ojciec wyjeżdżał, a matka odzyskiwała dobry humor. Opowiadała klientkom, że jej małżeństwo działa według „modelu włoskiego”, a więc jest dużo krzyku, ale i dużo miłości. Bailey chciała w to wierzyć, jednak lata mijały, ojciec wyjeżdżał coraz rzadziej, zaś coraz więcej czasu spędzał w towarzystwie butelki taniej gorzały. Blask w oczach matki stopniowo gasł, a wraz z nim znikaly szczęśliwe chwile. Kiedy Bailey poszła do liceum, jej życie było naprawdę smutne. Co z tego, że w sobotę rano matka nakręcała jej włosy na wałki i robiła ją na bóstwo, skoro w poniedziałek musiała iść do szkoły ubrana w szmaty, które dostawała z pomocy społecznej albo od Armii Zbawienia, i udawać, że nie słyszy, jak wszyscy w klasie nazywają ją „dziadówką”?

Cóż, nigdy więcej. Przeszłość zostawiła daleko za sobą. Nie pozwoli, żeby ktokolwiek zastraszał ją jak własny ojciec albo patrzył na nią z politowaniem jak „porządni ludzie” z jej rodzinnego miasteczka. Choć od losu dostała bilet drugiej klasy, dzięki ciężkiej pracy utorowała sobie drogę do lepszego świata. I nikt jej tego nie odbierze.

Nalała sobie jeszcze jedną filiżankę kawy, wybrała z koszyka apetycznie pachnący, świeżutki rogalik i, pogryzając go niespiesznie, włączyła laptop. Dochodziła siódma; Jared pewnie wybierał teraz kije do golfa, miała więc przed sobą trzy godziny, żeby doszlifować swoją część prezentacji. Projekt był już gotowy; zarwała wszystkie noce w tygodniu poprzedzającym wyjazd, opracowując

kilka wersji . Teraz wystarczyło wybrać tę, która z największym prawdopodobieństwem zyska poparcie Gagnona, i ostatecznie ją zredagować.

Bułka z masłem.

Dwie i pół godziny później była już przebrana w elegancką letnią sukienkę w kolorze naturalnego lnu, uczesana i umalowana, a zestaw slajdów prezentujący szeroko zakrojoną strategię docierania do klientów tam, gdzie spędzają wolny czas, miała dopracowany w najdrobniejszych szczegółach. Firma Stone Industries oferowała nie tylko laptopy i smartfony, ale też elektroniczne zegarki z aplikacjami dla sportowców i miłośników rekreacji na świeżym powietrzu, pulsometry, krokometry czy liczniki spalania kalorii. Wyjątkowa, inspirowana wschodnim minimalizmem estetyka, w jakiej utrzymane były produkty Stone Industries, na pewno przypadnie do gustu osobom trenującym jogę, tai-chi czy sztuki walki. Nie było jednak powodu, żeby ograniczać się do tej jednej grupy odbiorców. Ośrodki sportu, centra fitnessu i dietetyki, a nawet punkty informacji turystycznej – w tych wszystkich miejscach na pewno można było zdobyć klientów. Kluczem była atrakcyjna oferta współpracy, jaką należało przedstawić właścicielom lokali bądź decydom z ramienia lokalnego samorządu. Bailey miała kilka pomysłów...

– Hej. – Punktualnie o dziesiątej Jared wkroczył na taras i rzucił na stolik gruby plik papierzyk. – Bierzmy się do roboty. Musimy przećwiczyć prezentację tak, żeby brzmiała bez zarzutu. David może i sprawia wrażenie poczciwca, ale wierz mi, kiedy przyjdzie do negocjacji, będzie bezwzględny. Nie możemy sobie pozwolić na żadne potknięcie, bo podkopałoby to naszą wiarygodność. A jeśli Alexandre wdał się w ojca, będziemy mieli dwóch bardzo uważnych i krytycznych słuchaczy.

Bailey skinęła głową, sięgnęła po ołówek i położyła przed sobą jedną z kopii prezentacji.

– Jestem gotowa.

Nie minął kwadrans, gdy oboje zrozumieli, że jest gorzej niż źle. Zanosilo się na to, że ich wspólne wystąpienie skończy się spektakularną katastrofą. Bailey uwielbiała improwizować; hasła pojawiające się na kolejnych slajdach rozwijała swobodnie, według własnego natchnienia, dodając dygresje, które barwnie ilustrowały przedstawiane tezy. Jared improwizacji organicznie nie cierpiał, chyba że były to improwizacje, które osobiście zaplanował. Kiedy Bailey dawała się ponieść fantazji, tak bardzo wytręcało go to z równowagi, że gubił wątek. Ponad trzy godziny później, zmęczeni i sfrustrowani, kończyli trzecią próbę prezentacji. Efekt był żałosny.

– Nic z tego nie będzie. – Jared rzucił papiery na stół i potarł twarz dłońmi, jak

gdyby chciał zetrzeć z niej grymas znużenia. – Czy ty naprawdę nie jesteś w stanie trzymać się schematu? Te twoje dygresje...

– Sprawiają, że całość brzmi przekonująco – wpadła mu w słowo. – I jest przyjemniejsza w odbiorze. Nikt nie lubi słuchać sztywnych, wyklepanych formułek.

– Ja nie klepię formułek! – oburzył się.

– Rzeczywiście, nie. Funkcjonujesz jak komputer precyzyjnie odtwarzający program. Można w ten sposób prezentować szczegóły techniczne, ale tu chodzi o to, żeby sprzedać pewną ideę. Spróbuj się zdobyć na trochę więcej luzu, to naprawdę nie boli.

– Chryste! – Zacisnął szczęki. – Dlaczego musisz kontestować wszystko, co robię?!

– Jeżeli marzysz o kimś, kto głąskałby cię po główce i mówił „cacy, cacy”, trzeba było zatrudnić nianię – syknęła. – Poza tym kontestuję tylko to, co trzeba poprawić.

– Tu nic nie trzeba poprawiać. Projekt prezentacji jest bez zarzutu – nachmurzył się.

– Owszem, byłby. Gdyby wszyscy myśleli dokładnie w taki sposób jak ty. Tymczasem David Gagnon to wizjoner i marzyciel. Jeśli chcemy mieć go po swojej stronie, musimy mówić tak, żeby poruszyć jego wyobraźnię.

– Skąd wiesz, mądralo, czy młody Gagnon podziela punkt widzenia swojego papy? – Jared uniósł brew.

– Nie mam pojęcia. Ale jestem zdania, że lepiej dostosować strategię do danych, które znamy, niż zmieniać ją w ciemno tylko dlatego, że nie są one kompletne – odparowała.

– A ja jestem zdania, że powinniśmy sobie zrobić przerwę – skwitował, wstając od stołu. – Pół godziny relaksu, potem lunch i wracamy do pracy. Co ty na to?

– Świetny pomysł.

Słońce stało już w zenicie, dzień był stanowczo zbyt piękny, żeby spędzić go tylko na pracy. Ogród kusił mnóstwem atrakcji i Bailey poczuła się nagle jak uczennica, której pozwolono wybiec na przerwę. Posłała tęskne spojrzenie w kierunku plaży – morze było teraz turkusowe, a słoneczny blask sprawiał, że wąskie pasmo piasku u podnóża skalistego klifu wydawało się niemal białe. Niestety, nie było czasu na spacer wzdłuż brzegu ani tym bardziej na pływacką eskapadę. Bailey postanowiła, że zadowolili się namiastką tej przyjemności i da nura do basenu. Dziesięć minut później, przebrana w swój sportowy, jednoczęściowy kostium, pruć już gładką tafłę rozkosznie chłodnej wody, płynąc spokojnie i pewnie, mocnymi, harmonijnymi ruchami. Basen miał rozmiary olimpijskie, a krystalicznie czysta woda zdawała się

wypełniona słońcem. Bailey była w swoim żywiole. Pokonywała kolejne długości w coraz szybszym tempie, ciesząc się sprawnością własnego ciała, równym, głębokim oddechem i światłem, które otaczało ją ze wszystkich stron. Przepłynęła kilometr, wyszła na brzeg, odrzuciła na plecy ociekające wodą włosy i, zamknawszy oczy, uniosła twarz ku słońcu. Czowała się wspaniale – solidnie zmęczona i cudownie rozluźniona zarazem.

Skorzystała z uroczej, staroświeckiej kabiny kąpielowej, zaopatrzonej w miękkie ręczniki, i przebrała się z powrotem w sukienkę. Wilgotne włosy zaczesła do tyłu, w chwili słabości pozwalając sobie na to, żeby nie nakładać make-upu. Miała jeszcze dziesięć minut i chciała spędzić je wyciągnięta jak długa na jednym z szezlongów, kusząco ustawionych nad brzegiem basenu. Dziesięć minut ekspozycji słonecznej chyba jej nie zabije, a porządna dawka witaminy D bardzo się przyda. Czytała kiedyś, że ta witamina koi nerwy...

Opadła na poduszki z błogim westchnieniem. Słońce przyjemnie grzało, wypełniając energią każdą komórkę jej ciała, malując pod powiekami abstrakcyjne kompozycje w złocie i purpurze. Szum morza przybrał na sile – Bailey miała wrażenie, że fale załamują się z hukiem zaledwie kilka metrów za jej plecami. Gdzieś wysoko, w powietrzu pełnym słonecznego blasku, tęsknie nawoływały się mewy.

– Hej, piękna.

Zamrugła, otworzyła oczy. I zaraz poderwała się na równe nogi. Co za wstyd! Zasnęła. Jared musiał jej szukać, a teraz stała przed nim taka, jak ją Pan Bóg stworzył... Nie, nie była naga, ale nie miała make-upu, a to było naprawdę upokarzające.

– Jedną sekundkę, zaraz będę gotowa. – Śmiertelnie zażenowana, schyliła się i złapała kosmetyczkę. Na szczęście miała przy sobie i podkład, i puder. – Muszę tylko...

– Wcale nie musisz. – Położył rękę na jej dłoni gestem, który jego samego zaskoczył.

– Słucham? – Znieruchomiała.

Przez chwilę nie odpowiadał. Właśnie zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy widzi Bailey bez makijażu i z jakiegoś niezrozumiałego powodu uznał, że to zjawisko warte jest uważnej kontemplacji. Cerę miała delikatną i tak jasną, że wydawała się niemal srebrzysta. Choć nigdy nie uważał się za romantyka, pomyślał nagle o porównaniu do płatków śniegu, subtelnie pięknych i bezbronnych wobec palącego słońca. Ciekawe, przemknęło mu przez głowę, czy St John wstydzi się tego, że ma

całą, całutką twarz gęsto usianą piegami? To by wyjaśniało, dlaczego nigdy nie pokazuje się światu bez warstwy maskującej. Zupełny nonsens, bo przecież właśnie te piegi, maleńkie, popielate plamki pokrywające skórę, sprawiały, że nie można było oderwać od niej wzroku. Umalowana, była po prostu bardzo atrakcyjną kobietą. Bez makijażu była zjawiskowa. W milczeniu sycił oczy widokiem jej usianego piegami wysokiego czoła, piegowatych powiek zwieńczonych gęstymi wachlarzykami rzęs i piegowatych, pięknie wysklepionych policzków. Nawet usta miała piegowate, co tylko podkreślało niezwykle, zmysłowy rysunek pełnych warg, bez szminki tak jasnych, że wyróżniających się właściwie tylko kształtem.

– Nie musisz się pacykować. – Cofnął dłoń. Co go napadło, żeby dywagować nad urodą pani dyrektor do spraw marketingu?

Nie zamierzał ciągnąć tematu ani przyznawać się, że dotarł w pobliże basenu o wiele wcześniej i miał przyjemność zobaczyć, jak Bailey przemierza ostatnie pięć długości basenu energiczną, krytą żabką, a potem wychodzi z wody. Gapił się jak uczeń na jej smukłe ciało, jasne, rozkołysane niczym płomień świecy. Kiedy uniosła ramiona, żeby wycisnąć wodę z włosów, skromny kostium podjechał trochę do góry, akurat tyle, żeby odsłonić do połowy cudownie kształtne pośladki. Zanim czerwona mgła pożądania przesłoniła mu wzrok, zdążył jeszcze dostrzec, że lewy pośladek zdobiło niewielkie, idealnie okrągłe znamię.

– Bez tej całej malatury wyglądasz... naprawdę nieźle. A nawet lepiej niż nieźle – dodał z niechęcią.

Bailey poczuła, że drżą jej usta, a na policzki wypływa gorący rumieniec.

– Dzięki – wydusiła, odwracając głowę, żeby nie zobaczył, jak bardzo jest poruszona. Ileż to razy musiała udawać, że nie słyszy, kiedy natrząsano się z jej wyglądu? „Indycze jajo” – to był chyba najłagodniejszy epitet, jakim ją raczono, zanim wyrobiła sobie nawyk, żeby nigdy nikomu nie pokazywać się bez make-upu. Po Jaredzie Stonie nie spodziewała się życzliwości ani słów uznania. A przecież mówił zupełnie szczerze; tłumiona złość w jego głosie była tego najlepszym dowodem. Nikt nie prawił fałszywych komplementów takim tonem. Bezwiednie uniosła ręce, przycisnęła palce do policzków, jak gdyby dotykała ich po raz pierwszy w życiu.

– Zawsze prezentujesz się perfekcyjnie – podjął Jared, schylając się, żeby zajrzeć jej w oczy. – Pełny make-up, strój jak z podręcznika autopromocji, idealnie ułożone włosy. Możesz mi zdradzić, dlaczego to jest dla ciebie aż tak ważne? Mam wrażenie, że używasz tego nieskazitelnego wizerunku jak tarczy. Ukrywasz się za nim, żeby przypadkiem nikt nie zobaczył, że jesteś po prostu istotą ludzką, a nie

żelazną lady. Masz prawo mieć gorsze i lepsze dni, możesz czasem po prostu chcieć odpocząć...

- Ty tak serio? - Skrzyżowała ramiona na piersi i uniosła podbródek. Jej zakłopotanie minęło jak ręką odjął. - Pracuję w Krzemowej Dolinie, a to jest męski świat. Tutaj rządzi testosteron. Jeżeli okażę najmniejszą słabość, zostanę zdeptana przez istoty ludzkie, które noszą większy rozmiar butów i oddają mocz na stojąco. Jeżeli dam pretekst do podejrzeń, że lubię odpoczywać, ktoś na pewno poczuje się uprawniony do stwierdzenia, że przychodzę do pracy jedynie w celu złowienia bogatego męża, a potem chcę już tylko leżeć i pachnieć. Myślę, że kto jak kto, ale ty powinieneś zrozumieć mój punkt widzenia. Należę do kobiet, więc z definicji jestem po drugiej stronie barykady.

- Może i rozumiem. - Uniósł brew. - Działasz w myśl hasła „samiec twój wróg”. To dlatego jesteś taka wyniosła i niedostępna. Słyszałem, co o tobie mówią chłopaki z marketingu. Podobno każdy, wyłączając gejów, próbował się z tobą umówić, i każdego potraktowałaś kubłem zimnej wody.

- Cóż, to ich problem - prychnęła. - Ja od początku mówiłam otwartym tekstem, że tracę czas. Nie jestem zainteresowana, wolno mi. Natomiast nie jestem pewna, czy tobie wolno wtrącać się w moje prywatne sprawy.

- Nie tylko mi wolno, ale wręcz powinienem - powiedział z naciskiem. - Wiesz, dlaczego nie wychodzi nam prezentacja? Bo jesteśmy dla siebie obcymi ludźmi. Powinniśmy sobie ufać, a wciąż jesteśmy wobec siebie podejrzliwi. Istnieje tylko jeden sposób, żeby temu zaradzić: całkowita szczerość. Przy lunchu nadrobimy zaległości. Musimy zacząć działać jak zgrany zespół. Nie sposób powiedzieć, jak się potoczy jutrzejsze zebranie. Ale jedno jest pewne: jeżeli będziemy nieufni wobec siebie, na pewno potoczy się źle.

- Rozumiem. Masz sto procent racji. - Zmusiła się do uśmiechu, chociaż na plecach poczuła lodowaty dreszcz.

Szczerość?

To był luksus, na który nie mogła sobie pozwolić. Nikt jej nie znał i tak było najlepiej. Nikt nie powinien się dowiedzieć, jaka była historia życia Bailey z małego miasteczka na bagnach Everglades. Zadbana o to, żeby wszyscy widzieli w niej pannę St John, wykształconą, światową kobietę sukcesu, doskonale samodzielną i intrygująco tajemniczą. Musiała ten status utrzymać; od tego zależało jej być albo nie być w świecie, gdzie rządzili drapieżcy.

Trzeba będzie jakoś przeżyć ten lunch, trzymając karty przy sobie i jednocześnie nie dając Jaredowi żadnych powodów do podejrzeń. Po raz kolejny odegra rolę,

którą sama dla siebie napisała, po raz kolejny przeprowadzi „szczerą” rozmowę, balansując na granicy prawdy i mistyfikacji. Robiła to od lat i miała nielichą wprawę.

– Pytaj o wszystko – rzuciła zachęcająco. – Nie mam nic do ukrycia.

Lunch podano na tarasie. Szef kuchni sumitował się, że posiłek jest skromny, ale Bailey zupełnie nie podzielała jego zdania. Podano kompozycję kilku gatunków sałat z klasycznym sosem winegret, takim, jaki w tym regionie przygotowywano od pokoleń, wzbogaconym miodem i ostrą musztardą z Dijon. Na sałacie ułożono zgrillowane krążki koziego sera, a całość hojnie posypano bazylią, czarnymi oliwkami i piórkami czerwonej cebuli. Do tego były chrupiące grzanki, cienko pokrojona pieczona wołowina, dzban pełen lodowatej wody mineralnej z plasterkami limonki i karafka białego półwytrawnego vin de table miejscowej produkcji. Bailey z żalem zrezygnowała z wina. Nie mogła sobie pozwolić na dekoncentrację.

Jared przyglądał się Bailey w milczeniu, kiedy nakładała sobie sałatę. Jej zgoda na rozmowę była troszkę zbyt entuzjastyczna. Wyczuwał, że pod maską ugodowości skrywała jakąś tajemnicę i... fascynowało go to.

Dość tych głupot, powiedział sobie twardo, sięgając po chleb i pieczone mięso. Tajemnice, fascynacje i dreszczyk emocji – to wszystko było dobre w sypialni, ale w pracy mogło tylko zaszkodzić. A w tej chwili naprawdę powinien się skupić na pracy. Od tego, czy zyskają przychylność Maison Électronique, zależała przyszłość jego firmy. Albo zostanie pionkiem, albo dołączy do światowej czołówki. Kobieta siedząca naprzeciwko niego mogła się okazać asem w rękawie albo kulą u nogi.

– Zacznijmy od początku – zarządził. – W swoim życiorysie piszesz, że uzyskałaś licencjat na uniwersytecie w Las Vegas. To dość dziwny wybór, zważywszy, że pochodzisz ze wschodniego wybrzeża. Z Florydy, o ile dobrze pamiętam?

– Owszem. – Upiła łyk lemoniady. – Urodziłam się na Florydzie.

– To dlaczego Las Vegas? – drążył. – Dostałaś stypendium?

Posłała mu wystudiowane spojrzenie, które nie wyrażało absolutnie niczego.

– Pochodzę z małej miejscowości o nazwie Lakeland – odezwała się starannie wymodulowanym głosem, pozbawionym jakichkolwiek emocji. – Kiedy zdałam maturę, miałam ochotę zobaczyć kawałek świata, a Uniwersytet Nevady w Las Vegas miał bardzo interesujący program.

– Więc przeniosłaś się do Miasta Grzechu.

Nadziła oliwkę na widelec szybkim, precyzyjnym dźgnięciem.

– Tak wyszło. Miejsce dobre jak każde inne.

– Zwłaszcza dla kogoś raczej nieskrępowanego więziami rodzinnymi – rzucił swobodnie, nalewając sobie wina.

– Skąd przypuszczenie, że nie jestem związana z rodziną? – Szare oczy błysnęły lodowato. Jared nie umiał powiedzieć, czy widzi w nich złość, czy obawę.

– Odkąd pracujesz w Stone Industries, nigdy nie wzięłaś urlopu, ba, bywasz w biurze nawet w Święto Dziękczynienia, nie mówiąc o Bożym Narodzeniu czy Wielkanocy. Ani razu nie wspomniałaś o rodzicach, rodzeństwie, dziadkach czy kuzynach. Naprawdę nietrudno się domyślić, że jesteś... samotną wilczycą – wyjaśnił, uśmiechając się pojednawczo.

– To prawda, od rodziny trzymam się raczej z daleka. – Kiedy nie odwzajemniła uśmiechu, zrozumiał, że dotknął czułego punktu. I dobrze. Nie zamierzał silić się na delikatność. Jeśli mieli nabrać do siebie zaufania, nie mogli omijać trudnych tematów.

– Co robią twoi rodzice? – palnął z grubej rury. Gdyby nie obserwował jej tak wnikliwie, na pewno by nie dostrzegł leciutkiego drgnienia ramion, jak gdyby chciała unieść je w obronnym geście, ale powstrzymała się siłą woli.

– Ojciec jest domokrążcą; sprzedaje głównie odkurzacze – powiedziała bezbarwnym głosem. – Mama pracowała jako fryzjerka.

Jared stracił wątek. Takiej odpowiedzi zupełnie się nie spodziewał; Bailey była znakomicie wykształcona, elegancka i wyrafinowana. Domyślał się, owszem, że coś ukrywała. Ale nic, absolutnie nic w jej wyglądzie ani zachowaniu nie zdradzało, że pochodzi z prostej, ubogiej rodziny. Gdyby kazano mu zgadywać, powiedziała by, że jest arystokratką. Nawet typ urody miała nietuzinkowy, subtelny, taki, który kazał się domyślać, że w jej żyłach płynie błękitna krew. Mogła być córką jakichś nobliwych bogaczy, która zwała z domu, bo miała dosyć sztywnej atmosfery, służby w wykrochmalonych mundurkach i bali charytatywnych. Albo pokłóciła się z rodzicami, bo ci nie aprobowali jej wyboru kariery. Tymczasem prawda okazała się zupełnie inna. Bailey po raz kolejny totalnie go zaskoczyła.

– A więc rodzinę masz daleko, a faceta wcale. Co robisz w wolnym czasie?

– Ja... – zaczęła i utknęła.

– Przepraszam, głupie pytanie. – Uniósł brew. – Ty nie masz wolnego czasu, bo w kółko pracujesz.

– A ty powinieneś być z tego zadowolony, bo dzięki mojej harówce twoja firma zwiększa obroty – odcięła się. – A teraz, kiedy już ustaliliśmy, że jestem zwykłą nudziarą, która tkwi non stop w biurze, może porozmawiamy o tobie?

– Czemu nie?

– Podobno zamiłowaniem do elektroniki zaraził cię ojciec – odsunęła talerz i, pochylając się do przodu, oparła podbródek na splecionych dłoniach.

– W pewnym sensie. Tata był bankierem inwestycyjnym, ale kochał majsterkować. W wolnych chwilach zamykał się w garażu i dłubał w różnych maszynach, od tosterów począwszy, a na starych komputerach skończywszy. Umiał naprawić właściwie wszystko, co miało w sobie przewody elektryczne. Po szkole zawsze biegłem do garażu, żeby mu pomagać. Co się mama musiała nakrzyczeć, żebyśmy przyszli na kolację! – uśmiechnął się do wspomnień.

– Mówisz o tacie w czasie przeszłym. – Bailey zmarszczyła brwi. – Czy... on... nie żyje?

– Żyje. Tyle że się przeprowadził. Bo, widzisz... – Zacisnął szczęki. Właśnie doszedł do linii, której z reguły nie przekraczał. Nie rozmawiał o rodzinnych sprawach. Nigdy, z nikim. Ale jeśli naprawdę zależało mu na zaufaniu Bailey, tym razem musiał się przełamać. – Pewnego pięknego dnia mój ojciec uznał, że robi o wiele lepszy niż bank użytek z pieniędzy, które powierzyli mu klienci. Niektórzy z nich byli jego bliskimi przyjaciółmi... Krótko mówiąc, sprzeniewierzył sporą sumkę. A kiedy zrozumiał, że się przeliczył i cała sprawa wyjdzie na jaw, wpadł na pomysł, jak wszystko naprawić. Pojechał do Vegas i postawił pieniądze, które mu zostały, w pierwszym kasynie, do jakiego trafił. Oczywiście, przegrał.

– Ojej. – Nie miała pojęcia, jak zareagować na to wyznanie. – I jak się to skończyło?

– A jak myślisz? – uśmiechnął się krzywo. – Ojczulek poszedł do mamra i w ten sposób spłacił dług społeczeństwu. A moja mamuska, kiedy już nie mogła dłużej doić go z pieniędzy i dotarła do niej straszna świadomość, że w nadchodzącym sezonie nie kupi sobie futra, biżuterii ani nowego samochodu, natychmiast przeprowadziła rozwód. Nie minęły dwa miesiące, a już złowiła kolejną ofiarę, bogatego dyrektora banku. Od tamtego czasu moje relacje z obojgiem rodziców... znacznie się rozluźniły.

– Przykro mi – powiedziała cicho. Zaczynała rozumieć, skąd Jared wytrzasnął swoje kuriozalne poglądy na temat kobiet. – Nie miałam pojęcia...

– I nic dziwnego, bo nie zamieszczam tej informacji w mojej oficjalnej biografii – skwitował. – Bank wyciszył aferę. Wie o niej tylko garstka ludzi; postarałem się, żeby nikt nie czuł potrzeby jej rozgłaszania.

– Rozumiem. – Skinęła głową, ale w jej szarych oczach lśniły dwa wielkie znaki zapytania.

– Dziwisz się, że ci o tym mówię? Tak się buduje zaufanie, a to jest w tej chwili

najważniejsze. Albo będziemy sobie ufać, albo przegramy. A ja nie mogę sobie pozwolić na porażkę.

– Rozumiem. – Przygryzła wargę, zmuszając się, żeby nie odwrócić wzroku. Miała wrażenie, że spojrzenie niebieskich oczu Jareda przeszywa ją na wskroś, dostrzegając o wiele za dużo. Szczerść dotycząca spraw osobistych? O, nie. Tego nie było w opisie jej obowiązków.

– Mam nadzieję, że to prawda. Bo kiedy jutro spotkamy się z przedstawicielami zarządu Maison Électronique, musisz dać z siebie wszystko. Nic nie powinno cię rozpraszać, a już na pewno nie obawa, co ja o tobie pomyślę albo czy odkryję jakiś szczegół, który wolałabyś zataić.

– Dam z siebie wszystko. – Tyle mogła obiecać, a teraz naprawdę chciała zmienić temat. – Co ty na to, żebyśmy wrócili do pracy nad prezentacją? Jeśli mam być szczerą, robimy to beznadziejnie. Musimy zmienić strategię.

– Co masz na myśli?

– Podzielmy całość na dwie części. Wtedy, gdy mowa będzie o szczegółach technicznych nowych modeli, ty rządysz, a ja powściągam gadatliwość i trzymam się ściśle tego, co jest w skrypcie. A kiedy przejdziemy do przedstawiania projektu strategii marketingowej, ja przejmę pałeczkę. Kto wie, czy taka zmiana stylu nie zadziała na naszą korzyść?

– Pewnie. Jeśli ktoś zaśnie, kiedy będę opisywał parametry naszych zabawek, to na pewno się obudzi, jak ty zaczniesz opowiadać dowcipy – mruknął Jared i Bailey nie mogła nie parsknąć śmiechem. Skończyli lunch w dużo lepszych nastrojach, a potem, gdy wrócili do prób prezentacji, musieli przyznać, że przełamali kryzys. Ona zauważyła, że on potrafi mówić naprawdę przekonująco, a jego koncentracja na detalach jest niemal hipnotyzująca. On z prawdziwym zadowoleniem słuchał, jak ona obrazowo przedstawia stworzony przez siebie projekt, a jej barwne dygresje, zamiast denerwować, zaczęły go bawić. Ostatnia próba wypadła znakomicie – weszli w swoje role gładko i pewnie, nie gorzej niż wtedy, gdy na parkiecie stawiali kroki w rytm tanga. Zaufanie wyrastało pomiędzy nimi powoli, niepostrzeżenie, jak trawa w pierwsze ciepłe dni przedwiośnia.

Do wieczora było jeszcze trochę czasu i Jared zaproponował partyjkę tenisa, a Bailey zgodziła się z radością. Przemknęło jej przez głowę, że szef zyskuje przy bliższym poznaniu. Dobrze im się razem pracowało. Oboje mieli niezły refleks, potrafili błyskawicznie kojarzyć fakty i wyciągać wnioski. Ich myśli nierzadko biegły jednym torem, a temperamenty znakomicie się uzupełniały. Była ciekawa, jak Stone poradzi sobie na korcie. Miała nadzieję, że da mu wycisk; był jednak paskudnym

męskim szowinistą i zasłużył, żeby przedstawicielka słabej płci skopała mu tyłek.

Jared przyglądał się Bailey, która, czujna i skupiona, mocno trzymając rakiety w obu dłoniach, czekała na jego serw. Lubił na nią patrzeć. Chyba w ogóle coraz bardziej ją lubił. Koniec końców, okazało się, że stary Walters miał rację, kiedy niemal szantażem zmusił go, żeby ją promował. Ba, może w ostatecznym rozrachunku jego internetowa wpadka wyjdzie na dobre? Jeśli miał być wobec siebie szczery, musiał przyznać, że gdyby nie znalazł się w sytuacji podbramkowej, odkładałby decyzję o jej awansie na święty nigdy. Dlaczego? Ano dlatego, że Bailey St John... nie była mu obojętna. Fascynacja nią trawiła go, tak jak mroczny podziemny nurt drąży skałę. Łudził się, że jeżeli będzie jej unikał, odzyska spokój. Krótko mówiąc, postępował jak tchórz, na dodatek przedkładając swoje prywatne problemy ponad interes firmy.

Wstydził się tego.

Zaserwował, a ona przebiegła przez kort i odbiła piłkę z siłą, której nie powstydziliby się mężczyzna. Rzucił się naprzód i z najwyższym trudem odebrał jej krótkie, ostre podanie. Miał nadzieję, że nie zauważyła jak mało brakowało, żeby stracił punkt. O, tak, Bailey St John była silna. Najlepszy dowód, że zdołała samodzielnie utorować sobie drogę z małego miasteczka na prowincji do wielkiego świata. Kiedy wyprowadziła się z domu, musiała bardzo ciężko pracować, żeby opłacić dach nad głową i studia. Mógł sobie wyobrazić, jak młodziutka Bailey uwija się z tacą przy kawiarnianych stolikach, uśmiecha się zza lady baru z hot dogami albo odbiera telefon za telefonem w call center, dzień po dniu cierpliwie i niezmordowanie dążąc do celu, który sobie wyznaczyła.

Dobrze, że miał kogoś takiego w swojej ekipie. Zamierzał dać St John szansę, by pokazała, co potrafi. Gdy zaś szło o ich prywatne relacje, cóż... nic nie stało na przeszkodzie, by połączyła ich przyjaźń. Taka czysto kumpłowska i zupełnie bezinteresowna. Dalej wstęp był wzbroniony. Niezależnie od tego, jak silną czuł pokusę, żeby sprawdzić, co pani dyrektor potrafi nie w biurze, a w buduarze.

Bailey przegrywała jednym punktem, lecz nie traciła nadziei na zwycięstwo, kiedy w przedwieczorną ciszę wdarł się łopot śmigła helikoptera, zwiastujący przybycie Alexandre'a Gagnona. Sportowe emocje musiały pójść w zapomnienie; mieli niewiele czasu, żeby przygotować się do wspólnej zapoznawczej kolacji, która miała się odbyć na pokładzie jachtu Davida.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Bailey otworzyła szafę i po namyśle zdjęła z wieszaka welurowy komplet w kolorze gołębiej szarości. Wąziutkie spodnie rybaczki odsłaniały łydki, a wcięty w talii żakiet o prostym kroju podkreślał talię. Do tego dobrała o ton ciemniejszy top na ramiączkach, z głębokim, ozdobnie marszczonym dekoltem. Jeszcze tylko sandały na obcasie, z cienkich paseczków czarnej, lakierowanej skóry, srebrne kolczyki z perłami w kształcie maleńkich łez i pasujący do nich wisiorek na delikatnym łańcuszku, makijaż, fryzura, i będzie gotowa. Włosy postanowiła upiąć, splatając wysoko w luźny, dobierany warkocz, odsłaniający kark. Dwadzieścia minut później stała przed lustrem, oceniając efekt. Nieźle. Klasyczna, spokojna elegancja, zero kiczu. Zaprezentuje się Alexandre'owi jako chłodna i rzeczowa, nienachalnie seksowna kobieta sukcesu. Wszystko miała pod kontrolą.

Jared podał jej rękę, pomagając wsiąść do motorówki. Smukły jacht żaglowy kołysał się majestatycznie na falach w głębi zatoki – piękna biała sylwetka na tle ciemniejącego nieba. Wieczór, ciepły i złocisty, zapowiadał się fascynująco. Kolacja miała zostać podana na pokładzie, aby goście, posilając się, mogli jednocześnie podziwiać panoramę Lazurowego Wybrzeża, płynąc niespiesznym rejssem aż do Cannes. Bailey czuła się jak dziecko w Boże Narodzenie... Od zawsze chciała postawić stopy na pokładzie któregoś z tych pływających pałaców. Dzisiaj jej marzenie miało się spełnić, a fakt, że towarzyszył jej Jared Stone, bosko przystojny w czarnych dżinsach i ciemnogrnatowej lnianej koszuli, czynił tę chwilę jeszcze bardziej ekscytującą. Uniosła głowę, pozwalając, żeby delikatna morską bryza owiała jej twarz, studząc emocje. Motorówka gładko pruła idealnie spokojną wodę, a wysoko nad nimi pierwsze gwiazdy lśniły jak klejnoty. Może to wszystko jest tylko pięknym snem, pomyślała nagle. Cóż, jeśli tak, nie chciała się obudzić.

Jacht Davida Gagnona miał piętnaście metrów długości. Na głównym pokładzie, pod białymi skrzydłami żagli ustawiono wykwintnie nakryty stół. Kryształowe kieliszki i srebrne sztucce lśniły w świetle lampionów. Podawano właśnie aperitif; gospodarz osobiście wręczył Bailey i Jaredowi po kieliszku szampana i szerokim gestem wskazał niewielką grupkę gości.

– Mój syn i przedstawiciele zarządu Maison Électronique z niecierpliwością czekają, żeby was poznać, moi drodzy. Wykorzystajmy ten wieczór dla budowania

dobrych relacji, a jutro od rana zajmiemy się ciężką pracą.

Bailey uśmiechnęła się szeroko, uniosła kieliszek, salutując starszemu panu. Wciąż uśmiechnięta, ruszyła swobodnym, rozkołysanym krokiem ku grupce mężczyzn, którzy przerwali rozmowę, żeby powitać nowo przybyłych. Trzej członkowie zarządu Maison zbliżyli się szybko, uścisnęli jej dłoń, wymieniając nazwiska. Czwarty mężczyzna, wysoki, niemal dorównujący Jaredowi wzrostem, trzymał się z tyłu. Bailey omiotła szybkim spojrzeniem jego czarny, elegancki strój, jedwabny fular zamotany wokół szyi, ciemne, lekko rudawe włosy zaczesane gładko do tyłu, orli, lekko garbaty nos i ciemne oczy...

Te oczy.

Czarne, ziejące pustką, jak dwie bezdenne jamy.

Szok przetoczył się przez nią falą ostrego, paraliżującego bólu. Zamarła, oniemiała z przerażenia jak dzikie zwierzątko schwyte w żelazne, ostre szczęki sideł.

Nie. To nie mógł być on.

Szalona nadzieja, że to po prostu pomyłka, targnęła się w jej duszy i zgasła. To był on. Choć minęło osiem lat, rozpoznała go bez cienia wątpliwości. A on rozpoznał ją – zrozumiała to, kiedy jego wąskie usta wygięły się w uśmiechu chłodnego rozbawienia.

Sidla zaciskały się coraz mocniej, coraz bardziej bezlitośnie.

– Alexandre Gagnon – przedstawił się. Patrzyła bezwolnie, jak ujmuje jej dłoń i unosi do ust, nie spuszczając świdrującego spojrzenia z jej twarzy. Spojrzenia, które znała aż za dobrze. Kiedy musnął wargami jej skórę, zacisnęła zęby. – Witaj... Bailey.

Nigdy mu nie powiedziałam, jak mam naprawdę na imię – to była pierwsza myśl, jaka wyłoniła się z chaosu, który zapanował w jej głowie. Alexandre wymówił je teraz z wyraźną satysfakcją i to było dla niej jeszcze gorsze niż świadomość, że widział ją nagą. Poczwała, że rodzi się w niej histeria. Chciała obrócić się na pięcie, skoczyć za burtę i zniknąć. Choć od brzegu dzielił ich dobry kilometr, wiedziała, że dopłynęłaby bez trudu. Adrenalina buzowała w niej jak w piecu, tętniła w żyłach niemym, instynktownym imperatywem, nakazującym ucieczkę.

Nie drgnęła.

– Bardzo mi miło pana poznać – wyrecytowała, uśmiechając się zdrętwiałymi wargami. Nie miała pojęcia, jak wybrnie z tej sytuacji. Ale wiedziała, że to zrobi. Musiała to zrobić, jeśli nie chciała, żeby dopadła ją przeszłość, rujnując wszystko, co z takim trudem osiągnęła.

– Nie mogę się doczekać jutrzejszej prezentacji. – Alexandre zmrużył oczy. – Ojciec jest pod ogromnym wrażeniem pani atrakcyjnych... pomysłów.

– Ja... my... – zaplątała się. – Mamy nadzieję, że spodobają się panu...

Odwróciła wzrok. Kpiący uśmiezek na twarzy Alexandre'a to było więcej, niż mogła znieść.

– Jesteśmy pewni, że proponowane przez nas rozwiązania uzna pan za optymalne. – Jared stanął obok niej, wysoki, solidny jak skała. Pozwoliła, żeby objął jej ramiona i wsparła się na nim z cichym westchnieniem. Dopiero teraz poczuła, że nogi ma jak z waty.

Alexandre śledził całą scenę zimnymi, czujnymi oczami.

– Może to zabrzmieć banalnie, ale mam wrażenie, że gdzieś już panią widziałem, Bailey – powiedział powoli, udając namysł. – Czy nie w Vegas?

Nie odpowiedziała. Rozpaczliwie próbowała odzyskać panowanie nad sobą, zdusić siłą woli narastający atak paniki. Prawda nie mogła wyjść na jaw. Nie tutaj, nie teraz.

– To całkiem możliwe – wtrącił Jared, posyłając jej naglące spojrzenie. – Bailey studiowała w Las Vegas.

– Ach, studiowała. No tak, to wszystko wyjaśnia – zgodził się Gagnon z szerokim uśmiechem. Jared, nieco zdziwiony, uśmiechnął się również. Tylko Bailey tkwiła nieruchomo, wpatrzona w zimne oczy Alexandre'a jak królik w oczy węża.

– Bailey, co się z tobą dzieje?! – Jared odciągnął Bailey na bok, korzystając z okazji, że podszedł David, by zamienić parę słów z synem.

– Nic! Nic. Wszystko w porządku – zapewniła pospiesznie.

– Wszystko w porządku? – Marszcząc brwi, zajrzał jej w oczy. – To dlaczego jesteś blada jak upiór? Dlaczego się chwiejesz, jakbyś miała mi tu zaraz zemdleć?

– Nie wiem... Zrobiło mi się trochę słabo – wyjąkała, spuszczając wzrok.

– Weź się w garść – zakomenderował. – Dobrze wiesz, o co toczy się gra; nie możemy sobie teraz pozwolić na niedyspozycję. Może zażyj jakiś środek przeciwbólowy. Poproszę obsługę...

– Nie trzeba. To zaraz minie; po prostu nie powinnam była pić szampana na pusty żołądek – tłumaczyła się.

– Więc z jedz coś i obyś poczuła się lepiej. Chcę cię widzieć w formie, Bailey, musisz dać z siebie wszystko. Alexandre jest kluczowym graczem. Liczę na to, że uda ci się go oczarować.

Żachnęła się, jak gdyby ją uderzył.

- Dobra, nie rozumiem, co cię dzisiaj ugryzło. - Pokręcił głową. - David to stary lis, a poradziłaś sobie z nim po mistrzowsku. Alexandre zadziera nosa, ale w biznesie ma zero doświadczenia. Powinno ci pójść znacznie łatwiej... - nie dokończył, bo w tej samej chwili podano do stołu. - Mam nadzieję, że lubisz owoce morza - mruknął tylko, podając jej ramię.

Bailey uwielbiała owoce morza, ale tym razem nie była w stanie docenić uczyty. Posadzono ją naprzeciwko Alexandre'a; nie wiedziała, czy przez przypadek, czy na jego wyraźne życzenie. Siedziała sztywno, ze sztucznym uśmiechem przyklejonym do warg i wzrokiem wbitym w ciemny horyzont. Nie była w stanie wykrztusić słowa, w głowie miała zupełną pustkę. Kiedy pojawił się kelner, poprosiła o wytrawne martini z oliwką i uchwyciła się kieliszka jak koła ratunkowego. Miała nadzieję, że alkohol choć trochę złagodzi napięcie, ale choć sączyła łyk za łykiem, nic nie pomagało. Wciąż czuła na sobie wzrok Alexandre'a; jego nieruchome czarne oczy zdawały się trzymać ją na uwięzi, jak gdyby zaciskał na jej szyi niewidzialną pętlę.

Doskonale pamiętała to spojrzenie. Choć w tamtych czasach, w Vegas, była przyzwyczajona do tego, że skupia na sobie uwagę mężczyzn - ostatecznie, na tym polegała jej praca - spojrzenie tego jednego mężczyzny wzbudziło jej niepokój od chwili, gdy zobaczyła go po raz pierwszy, siedzącego tuż przed sceną, w milczeniu śledzącego każdy jej ruch. Tańczyła wtedy w Czerwonym Buduarze, co dla dziewczyny jej profesji było ogromnym sukcesem. Luksusowy strip-club płacił dobrze, zapewniał tancerkom względne bezpieczeństwo i pewien specyficzny rodzaj sławy. Jej popisowy numer przyciągał rzesze klientów, którzy gotowi byli sporo wydać, żeby obejrzeć Freyę Snow, piękność z dalekiej północy o skórze białej jak śnieg i temperamencie gorętszym niż ogień. Nikogo nie obchodziło, kim tak naprawdę jest tancerka - ważna była fantazja, a Bailey, alias Freya Snow, potrafiła tę fantazję sprzedać. Wychodziła na scenę w długim płaszczu obramowanym srebrnym futrem, wyniosła i lodowato obojętna. Muzyka, z początku spokojna, nabierała tempa, gdy ona, tańcząc, zaczynała się rozbierać. Jej ruchy, najpierw powolne, niemal niechętne, stawały się coraz bardziej sugestywne w miarę, jak odsłaniała ciało. Gdy miała na sobie już tylko zmysłowe, czerwone koronki, oddawała się bez reszty we władanie gorącej namiętności, by wreszcie zerwać z siebie ostatnie skrawki materiału...

W końcowych minutach pokazu mężczyźni oblegali scenę, temperatura w klubie zdawała się niebezpiecznie wzrastać, dziewczynę obsypywano banknotami. Mężczyzna o czarnych oczach nie pokazywał po sobie żadnych emocji. Po prostu

patrzył, bez ruchu, niemalże bez mrugnięcia. Dzień po dniu, gdy tylko wychodziła na scenę, dostrzegała go siedzącego w tym samym miejscu. To właśnie on dawał jej największe napiwki, a gdy schodziła ze sceny, niezmiennie zapraszał, żeby dołączyła do niego przy stoliku. A ona niezmiennie odmawiała. Po pierwsze, z zasady nie spoufalala się z klientami. Po drugie, w tym mężczyźnie, który bez uśmiechu wkładał za pas jej pończoch grube zwitki studolarowych banknotów i nosił garnitury warte tyle, co opłata za semestr jej studiów, wyczuwała coś, co budziło jej lęk.

O tym, że instynkt jej nie mylił, przekonała się pewnego wieczoru, kiedy, po skończonym występie poszła do garderoby. Inne dziewczyny przebrały się w mgnieniu oka i pobiegły na miasto poimpreszować, ale Bailey, która miała w perspektywie powrót na stację i dokończenie pisania eseju, nie spieszyła się. Włożyła swoje ulubione znoszone dżinsy i szary miękki top, usiadła przed lustrem i zabrała się za zmywanie makijażu. Za chwilę, kiedy zwiąże włosy w koński ogon, włoży bejsbolówkę i wymknie się tylnymi drzwiami, nikt, absolutnie nikt nie rozpozna w niej bezwstydną Frei Snow. I dobrze. Spojrzała w lustro, uśmiechnęła się krzywo do własnego odbicia... i zerwała na równe nogi, tłumiąc krzyk przerażenia. Tuż za nią stała wysoka, mroczna postać. On. Mężczyzna o świdrujących oczach.

– Przepraszam, ale chyba pomylił pan drzwi. Tutaj są pomieszczenia dla personelu, gdzie goście nie mają wstępu – powiedziała, siłąc się na spokój, choć serce tłukło jej się szaleńczo w piersi. Od jak dawna ten człowiek stał za jej plecami? I gdzie był ochroniarz, który zawsze skutecznie powstrzymywał napór co bardziej rozochoconych panów za kulisy, bo miał ponad dwa metry wzrostu i bary szersze od framugi drzwi?

– Hank poszedł zaczerpnąć świeżego powietrza – odezwał się nieznajomy, odgadując jej myśli. – Mamy parę minut tylko dla siebie, nikt nie będzie nam przeszkadzał.

– Proszę wyjść. Skończyłam już pracę, a teraz spieszę się do domu. – Skrzyżowała ramiona na piersi.

– Nie zabiorę pani wiele czasu, Freyo – wycedził, robiąc krok w jej stronę. – Powiem bez ogródek, że jestem panią zafascynowany. A ponieważ uparcie odrzuca pani moje zaproszenia, postanowiłem spróbować innej strategii...

Bailey poczuła, że robi jej się gorąco z przerażenia. Byli sami, a głośna muzyka dobiegająca z klubu zagłuszyłaby jej krzyk, gdyby zaczęła wołać o pomoc. Zacisnęła pięści, gotowa się bronić, ale mężczyzna nie zrobił żadnego gwałtownego gestu. Zamiast tego wyjął z kieszeni kawałek papieru i pokazał go jej.

– Oto czek na pięćdziesiąt tysięcy dolarów – powiedział. – Będzie twój, jeżeli spędzisz ze mną noc. Jedną noc.

Doskonale pamiętała szok, jaki wtedy przeżyła. Nie mieściło jej się w głowie, że ktokolwiek mógłby chcieć zapłacić tak ogromną sumę za seks. I że tę niesłychaną propozycję usłyszała właśnie ona, Bailey z przyczepy kempingowej na bagnach Florydy. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów... Przez sekundę bawiła się myślą, że za taką sumę mogłaby opłacić studia i koszty mieszkania na dwa lata naprzód. Koniec z zarwanymi nocami, z zasypianiem nad książką ze zmęczenia. Koniec z uporczywym bólem kręgosłupa, który zawdzięczała szpilkom na piętnastocentymetrowym obcasie. Mogłaby spokojnie się uczyć, spędzać beztrudne wieczory na kampusie albo w studenckich knajpkach. Wystarczyłaby jedna noc, by jej marzenie o normalnym życiu stało się rzeczywistością. Ot tak, po prostu.

Zaraz jednak przyszło otrzeźwienie. Normalne życie? Nie za taką cenę. Owszem, zyskałaby wolny czas i lepsze warunki bytowe, ale przekroczyłaby granicę, za którą otwierało się piekło całkowitego relatywizmu. Skoro sprzedała się raz, co by ją powstrzymało przed przyjęciem kolejnej propozycji tego typu? Skoro mogła się sprzedać za pięćdziesiąt tysięcy, to dlaczego nie za dziesięć? Albo za tysiąc? Dla kogoś, kto, jak ona, wyrósł w nędzy, nawet sto dolarów było kwotą nie do pogardzenia...

– Nie jestem zainteresowana – syknęła, drżąc z gniewu. Była wściekła na siebie, że wciąż czuje pokusę, by sięgnąć po czek. Wściekła na los, że jednych skazywał na biedę, a innych obsypywał złotem. – Nie zrobię tego. Nigdy, za żadne pieniądze, słyszy pan?

Mężczyzna nawet nie drgnął. Wciąż wpatrywał się w nią świdrującym wzrokiem.

– Nigdy nie mów nigdy – wycodził, przyglądając jej się z uwagą jak nabywca oceniający wartość produktu. – Każdy jest do kupienia, to tylko kwestia ceny. Podaj mi swoją cenę, Freyo.

Co by zrobił, gdyby powiedziała: pięćset tysięcy? Pokusa stawała się coraz silniejsza.

– Nic z tego! – wrzasnęła. Czuła się jak zaszczute zwierzę, które przyparte do muru, nie ma innego wyjścia niż rozpaczliwy atak. – Wynoś się stąd, wieprzu!

Uśmiechnął się z cynicznym rozbawieniem, ale musiał zobaczyć w jej oczach błysk szaleństwa, bo wycofał się do drzwi.

– Coś mi mówi, że jeszcze się spotkamy, Freyo – rzucił na odchodnym.

Następnego wieczoru Frei Snow drżały kolana, kiedy wkraczała na scenę otulona w długie do kostek, srebrne futro. Ale miejsce tuż pod podium było puste. Nigdy

więcej nie zobaczyła ciemnookiego mężczyzny. Rok później, z dyplomem licencjackim w kieszeni, na zawsze opuściła Las Vegas. Freya Snow umarła, a narodziła się Bailey St John, która naiwnie wierzyła, że udało jej się pogrzebać przeszłość. Dziś przekonywała się, że nic podobnego. Przeszłość rzucała długi cień.

– Bailey, niepokoję się o panią. – Ktoś dotknął jej ramienia, przywołując do rzeczywistości. Uniosła głowę i napotkała uważne spojrzenie Davida. – Taka pani dziś milcząca i blada... a kolacja nietknięta. Jak się pani czuje?

– Bardzo żałuję, ale rzeczywiście nie czuję się najlepiej – wydusiła. – To nic poważnego, zwykła migrena...

– Albo choroba morska. – Starszy pan przyglądał jej się z troską. – Fal prawie nie ma, ale osoby bardzo wrażliwe nawet na lekkie kołysanie reagują złym samopoczuciem.

– Nie jest pani duszno, droga Bailey? – Alexandre rozciągnął wargi w parodii życzliwego uśmiechu. – Może powinna pani... zdjąć coś z siebie?

Tego było już za wiele. Bailey poczuła, że faktycznie się dusi. Posłała Jaredowi przepaszające spojrzenie, a on wykrzywił usta w grymasie zniecierpliwienia. Nie dziwiła mu się. Tego wieczoru zrobiła z siebie konkursową idiotkę.

– Proszę mi wybaczyć. – Podniosła się z miejsca, chwytając torebkę. – Za moment wrócę.

Łazienka znajdowała się pod pokładem, urządzona w drewnie, bezbłędnie elegancka jak reszta wystroju. Bailey ciężko oparła się o umywalkę, a z lustra spojrzała na nią kobieta o poszarzałej twarzy i oczach rozbieganych jak u zaszczutego zwierzęcia. Chorobę morską mogę symulować bez trudu, pomyślała w przypiływie wisielczego humoru. Odkręciła kran, podsunęła złączone dłonie pod zimny strumień i na długą chwilę ukryła w nich twarz, modląc się do wszystkich bogów ziemi i morza o siłę, żeby mogła zmierzyć się ze swoim najgorszym koszmarem.

Pięć minut później miała już świeży makijaż i roboczą koncepcję, jak zażegnać kryzys. Będzie po prostu zaprzeczać, że kiedykolwiek wcześniej widziała Alexandre'a. Ich spotkanie odbyło się bez świadków, więc Gagnon nie mógł niczego udowodnić. Będzie szła w zaparte – jego słowo przeciw jej słowu. Innego wyjścia nie miała. Odetchnęła głęboko, uniosła głowę i ruszyła na pokład.

– Moje gratulację, Bailey. Nieźle się urządziłaś w życiu. – Kiedy znalazła się u szczytu schodów, Alexandre zastąpił jej drogę, zmuszając, by cofnęła się ku burcie. – A może wolałabyś, żebym nazywał cię Freya? Jak ci naprawdę na imię?

– Przykro mi, ale nie mam pojęcia, o czym pan mówi. I nie przypominam sobie, żebyśmy przeszli na „ty”. – Zmusiła się, żeby mówić spokojnie. Odwróciła głowę; na horyzoncie migotały dalekie światła miasta, a ich odbicia tańczyły na ciemnych falach.

– Myślisz, że mógłbym cię zapomnieć, moja piękna? – Zrobił krok w jej stronę. – Nie łudź się. Pamiętam wszystko, każdą krągłość, każdy kształt twojego boskiego ciała.

– Musi mnie pan z kimś mylić. – Zimny pot zrosił jej czoło. – I wypraszam sobie podobne uwagi.

Rzuciła się naprzód, licząc na to, że zdoła się wymknąć, ale on był szybszy. Poczowała, jak zaciska palce na jej ramieniu.

– Stone nie ma pojęcia o twojej, hm, działalności artystycznej, prawda, Freyo Snow? Założę się, że bardzo ci zależy, żeby tak pozostało – wysyczał, przyciągając ją do siebie. Nie stawiała oporu, bezwolna jak marionetka. Odrazą podeszła jej do gardła falą mdłości, zupełnie pozbawiając sił.

– Gagnon, niech pan łaskawie zechce trzymać łapy przy sobie – rozległ się nagle cichy, zwodniczo spokojny głos. Zaskoczenie sprawiło, że oboje drgnęli. Bailey błyskawicznie wyrwała się Alexandre’owi, odskoczyła w tył, obróciła się na pięcie i znalazła się oko w oko z Jaredem.

Stał na szeroko rozstawionych nogach, lekko pochylony, skupiony jak drapieżnik przed skokiem. Bailey poczuła, że serce podchodzi jej do gardła na myśl, że mógł słyszeć, o czym rozmawiali. To byłby jej koniec. Już nigdy nie potraktowałby jej poważnie, nie widziałby w niej partnerki w biznesie, tylko... była striptizerką. Czyż potrzebowałby innego dowodu, by uznać, że pisząc „Deklarację programową”, miał sto procent racji?

– Spokojnie, panie Stone. – Alexandre splótł ramiona na piersi. – Nie musi pan szarżować na białym koniu, spiesząc z odsieczą damie w opresji. Po prostu rozmawialiśmy.

– Na pewno. – Jared nie zmienił pozycji. – Jednak widzę wyraźnie, że ton tej rozmowy nie przypadł do gustu panie St John, więc muszę prosić, żeby pan dłużej nie nalegał. Jeśli ma pan jeszcze jakieś pytania, jestem do dyspozycji.

Alexandre uniósł ręce w górę pojednawczym gestem.

– Moje gratulacje – powiedział ze śmiechem, który można by uznać za serdeczny, gdyby nie lodowaty błysk w jego oczach. – Potrafi pan bronić swojego terytorium! Rozumiem, doskonale rozumiem. Panna St John jest wyjątkową kobietą, która żadnego z nas, mężczyzn, nie pozostawia obojętnym. Co pan powie o seksownym

znamieniu na jej lewym pośladku? Moim zdaniem jest jak wisienka na śmietankowym torcie... – zawiesił głos. – Och, to mi przypomina, że już czas na deser. Proponuję, żebyśmy wrócili do stołu.

Jared poczuł, że jego dłonie same, bez udziału woli, zaciskają się w pięści. Przyjąłby za pewnik, że Gagnon blefuje, gdyby nie to, że doskonale pamiętał owo znamię zdobiące zgrabny tyłeczek pani dyrektor. Widział je na własne oczy nie dalej jak przed kilkoma godzinami. Wspomnienie tego widoku rozdarło jego myśli jak nagła, oślepiająca błyskawica.

– Bailey, o czym on mówi? – warknął, kiedy Francuz się oddalił. – Czy wy się znacie?

Zmusiła się, żeby potrząsnąć głową. Była sztywna z przerażenia; każdy ruch zdawał się sprawiać jej fizyczny ból.

– Nie znam tego człowieka. – W pewnym sensie, była to prawda. Niczego przecież nie wiedziała o Alexandre Gagnonie. Niczego poza tym, że był głównym rozgrywającym, który zdecyduje, czy dojdzie do skutku kontrakt wart miliony dolarów, tak ważny dla Stone Industries i dla jej własnej kariery.

– Wybacz, ale twoje zachowanie mówi co innego. – Jared nie dał się zbyć. – Wyglądasz, jakbyś się go bała. Kim jest dla ciebie Alexandre Gagnon?

– Zadufanym w sobie samcem, który pomylił mnie z kimś innym – ucięła, modląc się, żeby nie dosłyszał drżenia w jej głosie. Zanim zdążył zadać kolejne pytanie, wyminęła go i ruszyła do stołu, gdzie właśnie podawano deser.

Gdyby ktoś powiedział Bailey, że jednym z najcięższych doświadczeń w jej życiu okaże się rejs po Morzu Śródziemnym, na pokładzie luksusowego jachtu i pod rozgwieżdżonym niebem, uznałaby, że to niezły żart. Cóż, los miał widać absurdalne poczucie humoru. Z najwyższym trudem przetrwała kolejne dwie godziny. Zdołała wmusić w siebie całą porcję przepysznego musu czekoladowego na sorbecie z malin, uśmiechać się i potakiwać, kiedy David i Jared robili, co mogli, żeby podtrzymać lekką, towarzyską rozmowę. Alexandre, z pozoru obojętny, prawie się nie odzywał, a ona udawała, że nie dostrzega jego uporczywego spojrzenia.

Kiedy zawinęli do portu, była tak wyczerpana, że nawet już nie miała siły się zamartwiać. Co ma być, to będzie, powiedziała sobie buntowniczo. Na razie marzyła tylko o jednym – żeby zamknąć się na trzy spusty w sypialni, wpełznąć do łóżka, naciągnąć kołdrę na głowę i chociaż kilka godzin spędzić w samotności, skryta przed bezczelnym spojrzeniem Alexandre'a i czujnym wzrokiem Jareda, w którym aż za dobrze widziała rozczarowanie i niepokój. Pożegnała się

pospiesznie i ruszyła do gościnnego domu, z nadzieją, że zdąży zamknąć się w sypialni, zanim Stone skończy rozmawiać z Gagnonami. Przeliczyła się.

Nie była jeszcze w połowie drogi, kiedy usłyszała za sobą pospieszne kroki. Zerknęła przez ramię i westchnęła z rezygnacją. Jared gnał za nią wielkimi susami, a jego zacięta mina nie wróżyła nic dobrego. Był wściekły.

– Negocjujemy kontrakt wart dziesiątki milionów dolarów rocznie – zaczął bez wstępów, gdy tylko się z nią zównał. – Zabawa w sekrety i kłamstwa to wyjątkowo kiepski pomysł w tej sytuacji, nie sądzisz?

– Nie wiem, o czym... – zaczęła obronnie, ale nie dał jej skończyć.

– Daruj sobie. Chcę wiedzieć, co cię łączy z młodym Gagnonem. Tym razem powiesz mi prawdę, a nie bajeczki, jakie opowiadałaś na jachcie. Prędzej uwierzę w istnienie Yeti niż w to, że miałaś atak choroby morskiej. Widziałem, jak radzisz sobie na łodzi, rok temu, podczas imprezy integracyjnej. To nie kołysanie pokładu, a widok Alexandre'a sprawił, że oblałaś się zimnym potem. Nie rozumiem, dlaczego usiłowałaś mi wmówić, że go nie znasz. Gagnon to bogaty światowiec, romans z kimś takim nie jest przecież powodem do wstydu.

– Nie miałam romansu z Alexandre'em Gagnonem! – prychnęła.

– Nie? – Uniósł brew. – A to ciekawe. Ty na jego widok bledniesz, jakbyś zobaczyła upiora, a on ze smakiem opowiada o dość intymnych szczegółach twojej anatomii. Potem twierdzisz, że go nie znasz. Wiesz co? Ujmijmy to tak: nie przekonałaś mnie.

– Jared, posłuchaj...

– Chętnie. Chcę całej prawdy. Na twoim miejscu zacząłbym mówić już teraz. Krótko, zwięźle i w miarę szybko, bo moja cierpliwość się kończy.

– W porządku. – Objęła się ramionami. W ciężkiej ciszy, która zapadła, ich kroki wybrzmiewały głucho, potęgując napięcie. Bailey gorączkowo szukała słów.

– Nie skłamałam, kiedy powiedziałam, że go nie znam. Nigdy nic nas nie łączyło. Owszem, spotkaliśmy się w Las Vegas. On złożył mi niedwuznaczną propozycję, ja nie byłam zainteresowana. To wszystko.

– To wszystko?! Jakim cudem wiedział, że masz znamię tam, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę, skoro po prostu dałaś mu kosza? Czy rzecz działa się na plaży nudystów?

– A ty skąd wiesz, że istotnie mam tam jakieś znamię? – Posłała mu ostre spojrzenie.

– Widziałem – przyznał się z bezczelnym zadowoleniem. – Dzisiaj, kiedy wychodziłaś z basenu.

– Muszę kupić sobie nowy kostium – mruknęła ze złością i kopnęła leżący na ścieżce kamyk. Długo szli w milczeniu; zatrzymali się dopiero w blasku latarni oświetlającej wejście do domu.

– Przykro mi – Bailey przemogła się, żeby spojrzeć Jaredowi prosto w oczy – ale szczegóły dotyczące tego, co wydarzyło się między mną a Alexandre’em, są moją prywatną sprawą i nią pozostaną. Zapewniam, że nie ma to nic wspólnego z kontraktem, który negocjujemy. Niestety, będziesz mi musiał uwierzyć na słowo, bo nie zamierzam kontynuować rozmowy na ten temat.

Oto wypowiedź, która mogłaby być podręcznikowym przykładem asertywności, pomyślał Jared, czując, jak wzbiera w nim fala frustracji, zbyt potężna, żeby mogły ją powstrzymać jakiegokolwiek tamy. Sam nie wiedział, co zirytowało go bardziej – wyniosły ton Bailey czy fakt, że nawet w półmroku widział doskonale, jak bardzo jest blada. Twarz miała niemal przezroczystą, a w ogromnych oczach czaił się lęk. Wydawała się taka delikatna, krucha i... zgnębiona.

– Dlaczego, Bailey? – wyrzucił z siebie, chwytając ją za ramiona. – W Krzemowej Dolinie uganiają się za tobą całe stada facetów, a ty grasz niedostępną. Ale temu aroganckiemu dupkowi, temu psu na baby pozwoliłaś, żeby położył na tobie łapska?

Nawet nie drgnęła, kiedy mocniej zacisnął palce. Uniosła tylko podbródek i posłała mu dumne, roziskrzzone spojrzenie.

– Tu cię boli, co? – syknęła. – Autor „Deklaracji programowej” nie może znieść, że trafił na kogoś, kto przebija go renomą? Cóż, musisz jakoś przełknąć fakt, że to nie ty jesteś tym, który widział mnie w biurze i w buduarze.

– Nawet nie próbuj porównywać mnie do tego pajaca – powiedział cicho, niemal bezgłośnie, pochylając się ku niej, mierząc ją pociemniałym wzrokiem. – Ja nie pozwoliłbym ci odejść.

Zobaczył, jak Bailey mruży oczy w szparki, niczym rozwścieczona kotka. Jej zmysłowe wargi rozchyliły się powoli, zapewne po to, żeby powiedzieć coś niezbyt miłego.

Zanim zdążyła wydać jakikolwiek dźwięk, pocałował ją. Smak jej ust przeniknął go bezgłośnie eksplozją zachwyty, podniecenie buchnęło niczym słup ognia, głusząc rozsądek, przesłaniając świat. Istniała tylko ta kobieta, jej ramiona filigranowe w uścisku jego dłoni, jej usta aksamitne, ciepłe jak samo słońce. Ich smak przywodził na myśl miód z dzikich kwiatów, słodki i ostry zarazem, niczym opowieść o radości, wolności i szaleństwie. Poczuł, że ta opowieść go wciąga i już wiedział, że nie zadowolony się pierwszym rozdziałem. Nie przerwał pocałunku, kiedy targnęła się wściekle, ani wtedy, gdy wyswobodziła ramię i uniosła je do uderzenia. Wplótł palce

w jej włosy i pogłębił pieśczołę, a ona, zamiast wymierzyć mu policzek, jęknęła głucho i chwyciła go za kark, odpowiadając namiętnością na namiętność.

Bailey nie miała pojęcia, co się z nią dzieje. Musiała chyba zwariować - oto całowała się ze swoim szefem. Z Jaredem Stone'em, geniuszem, milionerem, właścicielem Stone Industries. Niestety, ta świadomość w ogóle nie studziła jej emocji, wręcz przeciwnie, podgrzewała je do temperatury wrzenia. Smakował luksusem - wyczuwała nutę koniaku i kosztownych cygar - oraz czystą, nieskrępowaną żądzą. Po raz pierwszy w życiu poczuła się zupełnie bezradna, nie tyle wobec mężczyzny, co wobec własnych uczuć. Kiedy przygarnął ją bliżej do siebie, westchnęła i wspięła się na palce. Wrażliwe koniuszki jej piersi musnęły jego tors i ten dotyk przeszył ją gorącym dreszczem. Krew huczała jej w uszach jak wichur zwiastujący nadciągającą nawałnicę.

- Bailey - wychrypiął Jared, nie odrywając ust od jej warg. - Kim jest dla ciebie ten cały Gagnon?

Cudowna, szalona chwila minęła bezpowrotnie. Naiwne wyobrażenia, zbyt piękne, żeby mogły być prawdziwe, zostały stłamszone naporem rzeczywistości - szarej, przyziemnej i paskudnej. Nie powinna była się łudzić, że Jaredowi na niej zależy. Nie powinna była, nawet przez moment, snuć marzeń o tym, że mogłoby ich połączyć coś... wyjątkowego. Fascynujący sojusz umysłów i jeszcze bardziej niezwykły dialog ciał. Nie, nic z tego. Jared nie widział w niej partnerki; była po prostu obiektem durnej męskiej rywalizacji. Ta myśl była jak trucizna, która zamieniła słodką namiętność w gorzyc rozczarowania.

Uderzyła otwartymi dłońmi o jego tors, tak mocno, że cofnął się o krok.

- Wszyscy jesteście tacy sami - wysyczała, krzywiąc usta. - Jak psy walczące o kość.

Nie czekała na reakcję Jareda. Wmówiła sobie, że nie jest jej ciekawa. Nie oglądając się za siebie, pomaszerowała do swojego apartamentu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gdy tylko świt zaczął rozjaśniać niebo nad horyzontem, wydobywając z ciemności skalisty krajobraz Cap Ferrat, Jared ruszył na jogging. Miał za sobą bezsenną noc i liczył na to, że końska dawka wysiłku fizycznego zakończona dobrym kwadransem głębokiej medytacji pozwoli mu oszukać zmęczenie. Tego dnia musiał być w formie. Czas mijał, odmierzany jego równym, głębokim oddechem i chrzęstem drobnych kamyczków pod stopami, gdy biegł długim, wytrenowanym krokiem. Bieganie zawsze pomagało mu wyciszyć umysł, ale nie tym razem. Wydarzenia poprzedniego wieczoru przesuwają mu się przed oczami jak irytujący, w kółko puszczone film. Widział pobladołą twarz Bailey, przerażenie w jej oczach, kiedy wpatrywała się w Alexandre'a. Doskonale pamiętał taki sam wyraz przerażenia w oczach ojca. Niemal zwierzęcy lęk i całkowitą bezsilność. To było wtedy, gdy zrozumiał, że nie ma ucieczki. Policjanci łomotali do drzwi, wrzeszcząc, że mają sądowy nakaz aresztowania. Dziesięć minut później wyprowadzili go, zakutego w kajdanki. Czego bała się Bailey St John? Nie wierzył, że chodziło tylko o porachunki między byłymi kochankami. To musiało być coś innego, coś dużo większego kalibru. Bailey nie chciała mówić, a on nie mógł pozwolić sobie na to, żeby działać w ciemno.

Zwolnił tempo, wyciągnął telefon z kieszeni spodni, wybrał numer prywatnego detektywa i czekał tak długo, aż w słuchawce rozległo się zaspiane „halo”.

– Danny? Chcę, żebyś pogrzebał w przeszłości mojej dyrektor do spraw marketingu – powiedział bez wstępów. – Interesuje mnie zwłaszcza okres jej studiów w Las Vegas.

– Wiesz, która jest godzina? – jęknął detektyw.

– Wybacz, Danny, ale potrzebuję tego na wczoraj.

– Zrobione, szefie. U mnie ciągle jeszcze jest wczoraj. Czy szukamy czegoś konkretnego?

– Czegoś, co chciałyby ukryć. – Zastanowił się chwilę, przywołał na pamięć strzępki rozmowy, które słyszał poprzedniego wieczoru na jachcie. – Przyjrzyj się wszystkiemu, co ma związek z nazwiskiem Gagnon. I Swann... nie, Snow. Freya Snow.

Wielka złocista kula słońca majestatycznie wypłynęła na niebo, a Jared podjął bieg, znacznie uspokojony. Jego prywatny detektyw był naprawdę dobry w swoim

fachu i potrafił szybko pracować. Za kilka godzin dostanie jego raport i pozna całą prawdę o Bailey St John.

Choć poranek był wyjątkowo ciepły, Bailey dygotała jak w dziesięciostopniowym mrozie, stojąc przed otwartymi drzwiami szafy. Za pół godziny miała się zacząć prezentacja; ona i Jared byli oczekiwani w willi Davida Gagnona. Spotkanie miało się odbyć w sali wyposażonej w sprzęt do wideokonferencji, dzięki czemu mogli wziąć w nim udział wszyscy decydenci Maison Électronique, także ci, którzy znajdowali się w wysokościowcu ze stali i szkła w centrum Paryża, gdzie mieściła się siedziba firmy. Tymczasem ona nie miała pojęcia, co na siebie włożyć. Wybór garderoby był jedynym problemem, na jakim była w stanie się skupić, bo o tych poważniejszych po prostu bała się myśleć. Instynktownie sięgnęła po ciemny garnitur ze spodniami, swój strategiczny „strój maskujący”. I zawahała się w pół gestu. Czy naprawdę powinna się ubierać w pokutny wór tylko dlatego, że na sali będzie Alexandre Gagnon? Niedoczekanie. Nie da mu tej satysfakcji. Wyjęła z szafy komplet w kolorze pudrowego różu, o nowoczesnym kroju, z wąską spódniczką i dopasowaną górą odsłaniającą ramiona. Ręce jej drżały, kiedy się ubierała, ale gdy stanęła przed lustrem, musiała przyznać, że wygląda dobrze. Strój był odważny, choć spełniał wszelkie wymogi klasycznej elegancji. Wpinała właśnie w uszy kolczyki z szarego jadeitu, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Aż podskoczyła, a błyskotki wypadły jej ze zeszywniałych palców.

– Hej, spokojnie. Jesteśmy świetnie przygotowani, wszystko pójdzie jak po maśle.
– Jared stanął w progu, swobodnym gestem oparł się o framugę drzwi. W spodniach koloru naturalnego płótna i grafitowej marynarce wyglądał znakomicie: swobodnie i stylowo, dokładnie tak, jak powinien wyglądać genialny programista i szef wielkiej firmy.

– Jestem spokojna. – Schyliła się i podniosła kolczyki. – Jeszcze tylko wezmę notatki...

Rozejrzała się bezradnie po pokoju, czując, że żołądek podchodzi jej do gardła. Nie miała pojęcia, gdzie położyła notatki. Czas uciekał. Co będzie, jeśli ich nie znajdzie? Oddychała coraz szybciej, ale wciąż było jej duszno. Zacisnęła powieki ze złudną nadzieją, że siłą woli powstrzyma zawroty głowy.

– Bailey, musisz mi powiedzieć, o co chodzi. – Jared ujął jej ręce w dłonie. Palce miała sztywne, rozdygotane i zimne jak sople lodu.

– O nic! – niemalże krzyknęła. – Wszystko jest w porządku, naprawdę.

– Oczywiście, że wszystko jest w porządku, ale ty zdradzasz objawy załamania

nerwowego. Wy tłumacz mi, czego się boisz. Jesteś mi to winna.

Byłam striptizerką w Vegas i boję się, że Alexandre wyciągnie ten fakt na światło dzienne w najmniej spodziewanej chwili – to właśnie powinna teraz powiedzieć, jeśli chciała być uczciwa. Ale wiedziała, że prawda nie przejdzie jej przez usta. Brzmiała zbyt... ohydnie, a ona miała dość upokorzeń.

– Niczego się nie boję, to zwykła trema. – Odwróciła wzrok.

– Tak? – udał, że jej wierzy. Pora prezentacji zbliżała się nieubłaganie, więc musiał grać takimi kartami, jakie mu się dostały. Na dociekanie prawdy przyjdzie czas potem. – To świetnie. A teraz posłuchaj. Za chwilę staniemy przed decydentami z Maison Électronique, przywitamy się ładnie i wygłosimy naszą prezentację, dokładnie tak, jak ją ćwiczyliśmy. Ja będę pedantycznie drobiazgowy, ty popiszesz się elokwencją, polotem i dowcipem. Jesteś w tym bezkonkurencyjna. Nie znam nikogo, kto potrafiłby mówić bardziej porywająco. Pamiętaj, że mamy znakomite produkty i niebanalną strategię marketingową, a więc wszystko, co trzeba, żeby rzucić ich na kolana. A gdyby Alexandre próbował wytrącić cię z równowagi, po prostu go ignoruj. Jeżeli będzie miał konkretne pytania, odpowiadaj rzeczowo i zwięźle, ale na zaczepki nie reaguj. Niech facet ma wrażenie, że strzela w próżnię, to szybko mu się znudzi.

– W porządku. – Ton głosu Jareda, mocny i spokojny, pokrzepił ją skuteczniej niż kielich mocnego alkoholu. Odetchnęła swobodniej. – Nie martw się, poradzę sobie.

Jej zapewnienia nie przekonały go i do ostatniej chwili martwił się jednak, że Bailey schrzani prezentację. Gdyby się jąkała i dygotała, jak poprzedniego wieczoru, nikt nie potraktowałby poważnie tego, co miała do powiedzenia. Ale kiedy tylko przekroczyli próg sali konferencyjnej, zrozumiał, że jej nie docenił. Pani dyrektor nerwy zostawiła za drzwiami. Kiedy zabrała głos, mówiła pewnie i swobodnie, obrazowo i zabawnie. Lepiej niż podczas prób – jak gdyby przeżyty stres wzmocnił ją, potęgując wolę walki. Przysłuchiwał się jej pełen podziwu. Była prawdziwą wojowniczką, która mobilizowała się w obliczu niebezpieczeństwa. Jej uśmiech był zaraźliwy, a entuzjazm, z jakim przedstawiała strategię marketingową, odbijał się niby w lustrze na twarzach słuchaczy. Na wszystkich, oprócz jednej. Alexandre siedział w milczeniu; wyglądał na lekko znudzonego.

– I co na to powiesz, synu? – David, szeroko uśmiechnięty, posłał synowi zachęcające spojrzenie. Ten jednak widocznie nie podzielał zachwyty ojca. Marszczył brwi w wyrazie głębokiego namysłu.

– Prezentacja jest, owszem, interesująca. – W jego głosie znakomicie słychać było

protekcjonalną nutę. – Nowatorska strategia marketingowa z pewnością ma swoje plusy, a przedstawiona linia produktów robi wrażenie co najmniej poprawnej. Ale wstrzymałbym się z ostateczną decyzją. Nie zapominajmy, że sprzedaż marki Stone Industries ostatnio spadła, a konkretniej, nastąpił odpływ żeńskiej klienteli, której pozyskanie jest dla nas kluczowe. Musimy rozważyć, czy stać nas na ryzyko, jakim byłoby związanie się kontraktem z firmą, która otwarcie głosi antyfeministyczne hasła...

– Czuję się zmuszony panu przerwać, Alexandre. – Jared z trudem panował nad głosem. – Myli się pan. Stone Industries żadnych tego typu haseł nie głosi, wręcz przeciwnie. Duża część naszych produktów adresowana jest do kobiet. Rozumiemy ich potrzeby, wychodzimy naprzeciw zainteresowaniom i staramy się trafić w ich gusta.

– Mój błąd. – Alexandre uniósł dłonie pojednawczym gestem, ale kącik jego ust drgał w leciutkim, cynicznym uśmiechu. – Miałem na myśli osławioną deklarację. Rozumiem, że osobiste poglądy szefa, których nie zawahałbym się nazwać szowinistycznymi, nie przekładają się na politykę firmy, ale nie jestem pewien, czy rozumieją to również kobiety.

– Być może nie docenia pan kobiet – wtrąciła Bailey. – Zresztą, jakkolwiek by było, kryzys wywołany przez niefortunną wypowiedź pana Stone’a to zjawisko efemeryczne jak ogromna większość internetowych akcji.

– Och, z pewnością kryzys jest przejściowy; tego w każdym razie z całego serca życzę firmie Stone Industries – podjął gładko Alexandre. – Ale wróćmy do meritum. Jak już mówiłem, wasza strategia marketingowa jest interesująca, ale uważam, że zanim podejmiemy ostateczną decyzję, należałoby poddać ją ocenie naszych specjalistów. Jestem też zdania, że zanim Maison Électronique zobowiąże się kontraktem do tego, żeby dać absolutne pierwszeństwo produktom Stone Industries, warto sprawdzić ofertę konkurencji. Myślę o Gehrig Electronics. Póki co, wstrzymałbym się z jakimkolwiek pochopnym działaniem podyktowanym entuzjazmem, który nie ma solidnego oparcia w rzeczywistości. Jeszcze za wcześnie na wspólne świętowanie sukcesu.

Po jego słowach zapadła grobowa cisza.

Jared zacisnął zęby tak mocno, że aż chrupnęło. To była absolutna klęska! Nawet najczarniejszy scenariusz nie przewidywał takiego obrotu sprawy. David poruszył się niespokojnie w fotelu; wyglądał na nie mniej zaskoczonego niż Jared.

– Hm, muszę przyznać, że... – odezwał się z wahaniem – punkt widzenia mojego syna nie jest pozbawiony racji... Szczególna ostrożność jest oczywiście zalecana

przy podejmowaniu tak ważnych decyzji. Proszę jednak przyjąć nasze zapewnienie, że zastosowanie środków ostrożności nie oznacza, że zamierzamy się wycofać z negocjacji, wręcz przeciwnie. Umocnimy wzajemne zaufanie...

– Rozumiemy, oczywiście – pospieszył z zapewnieniem Jared. Próbował się uśmiechać; twarz miał zupełnie zdrętwiałą z wysiłku. – Zarówno ostrożność, jak i chęć wyboru najlepszego kontrahenta. Pozwolę sobie jednak wyrazić niepokój z innego powodu. Postępowanie, które zamierza przeprowadzić pan Alexandre Gagnon, wymaga czasu...

– A pan jest człowiekiem zajęтым – wpadł mu w słowo Alexandre. – To zrozumiałe, że szef wielkiej firmy ma też inne zobowiązania. Na szczęście pani dyrektor do spraw marketingu jest osobą wysoce kompetentną, zdolną samodzielnie sfinalizować negocjacje w imieniu Stone Industries. Mówię to z całym przekonaniem. Chciałbym już teraz zaprosić panią St John do Paryża, żebyśmy mogli razem opracować rozwiązanie najkorzystniejsze dla obu stron. Jeżeli weźmiemy się konkretnie do pracy, zamkniemy sprawę w tydzień.

Bailey nie powiedziała ani słowa, nie drgnęła nawet. Jej twarz zrobiła się przeraźliwie biała, jak gdyby odpłynęła z niej cała krew.

Jared poczuł, że ogarnia go furia.

– Szalenie mi przykro, ale to nie będzie możliwe – wycedził. – Po pierwsze dlatego, że St John pracuje dla mnie, a nie dla pana, i tak się składa, że będzie mi w najbliższym czasie potrzebna. A po drugie, umowa przedwstępna, którą podpisaliśmy z pańskim ojcem, otwierając negocjacje, określa dokładnie termin, w którym Maison Électronique podejmie ostateczną decyzję w kwestii omawianego kontraktu. I termin ten upływa jutro.

Młody Gagnon rzucił ojcu pytające spojrzenie, ale tamten tylko przytaknął, bezradnie rozkładając ręce.

– Dziwię się – Alexandre skrzywił się ze złością – że pan tak stawia sprawę. Odrobina elastyczności na pewno pomogłaby nam wypracować satysfakcjonujący kompromis, w końcu moje oczekiwania nie są specjalnie trudne do spełnienia. Jeśli jednak woli pan kurczowo trzymać się zapisów umowy to, cóż, ja ze swej strony nie mogę ręczyć, że ostateczna decyzja Maison Électronique będzie po pańskiej myśli.

Odrobina elastyczności? Nietrudne do spełnienia oczekiwania? Owszem, brzmiało to rzeczowo i rozsądnie, ale wygłaszając swoją tyradę, Alexandre bezczelnie gapił się w dekolt Bailey, ta zaś stała nieruchomo, zaciskając lekko drżące usta, a palce dłoni splatała tak mocno, że zrobiły się sine. Cała scena skojarzyła się Jaredowi z targiem niewolników, co rozwścieczyło go jeszcze bardziej. Bailey... jego Bailey

nie była na sprzedaż. Tylko dzięki żelaznej samokontroli nie uległ szalonej chęci, żeby wyrznąć Francuzika pięścią w szczękę.

– Podejmę ryzyko – warknął, dla pewności wciskając ręce w kieszenie. – Stone Industries oferuje znakomite produkty i świetnych specjalistów. Nie sądzę, żebyśmy musieli spełniać jakiegokolwiek dodatkowe warunki, by być uznani za odpowiedniego partnera w dalekosiężnej strategii rynkowej Maison Électronique.

David pospieszył z zapewnieniem, że tak jest istotnie, wyraźnie chcąc rozładować napiętą atmosferę. Wymieniono kilka uwag natury ogólnej i zebranie zakończyło się nierozstrzygniętym wynikiem. Jared opuścił salę wielkimi krokami. Po występie, jaki dał Alexandre, nie było wątpliwości, że lubi wygrywać. Tyle że jego celem nie było pomnożenie zysków rodzinnej firmy. Jego celem była Bailey. Był gotów zniweczyć długo przygotowywany przez Davida kontrakt ze Stone Industries, byleby postawić na swoim i być górą w rozgrywce, którą prowadził z Bailey. Co się między nimi wydarzyło? Musiał się tego dowiedzieć, i to jak najszybciej. Bo okazało się, że on i Alexandre stoją jednak po dwóch stronach barykady. A Jared lubił wiedzieć, o co walczy.

Zawibrował telefon w kieszeni marynarki, więc Jared wyszedł na taras i, mrużąc oczy w blasku słońca, spojrzął na ekran. Dzwonił prywatny detektyw. Ani o chwilę za wcześnie.

– Masz coś dla mnie? – rzucił niecierpliwie, unosząc aparat do ucha

– A żebyś wiedział, szefie. – Głos Danny’ego był dziwnie radosny jak na to, że detektyw miał za sobą zarwaną noc. – Muszę powiedzieć, że zlecenie wykonałem... z niemałą przyjemnością. Jeśli masz takich więcej, załatwię je gratis.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – zirytował się Jared. – Mógłbyś, z łaski swojej, wyrażać się jaśniej?

– Słowa tego nie oddadzą, to trzeba zobaczyć. Wysłałem ci plik, odbierz w wolnej chwili i przygotuj się na interesującą lekturę.

– Dzięki, Danny. – Jared zakończył rozmowę i pomaszerował do swojego apartamentu krokiem szturmowca. Gnał go niesprecyzowany niepokój. Wesołkowaty nastrój detektywa, nie wiedzieć czemu, podziałał mu na nerwy.

Dziesięć minut później siedział już w gabinecie, w który zaopatrzone gościnnie apartament. Włączył laptop i otworzył pocztę; nad nowym zabezpieczeniem męczył się przez kilka godzin i szczerze wątpił, by ktokolwiek zdołał się do niej włamać. Zwłaszcza jeśli hakerem był człowiek, którego Jared coraz poważniej podejrzewał o to, że ima się wszelkich sposobów, żeby zmienić układ sił przed walnym zgromadzeniem akcjonariuszy Stone Industries. Człowiek, który uroił sobie, że

Jared Stone powinien odejść i zwolnić dla niego fotel prezesa. Cóż, typowy przerost ambicji. Niemal współczuł biednemu durniowi, kiedy myślał o tym, jak gorzkie czeka go rozczarowanie. Zamierzał dobrać mu się do skóry, gdy tylko załatwi pilniejsze sprawy.

Mejl od Danny'ego był lapidarny, ale zawierał bardzo obszerny załącznik. Jared podłączył laptop do drukarki, jednak gdy maszyna wypłukała gruby plik kartek, nawet na nie nie spojrział. Wsadził je do koperty, bezceremonialnie złożył ją na pół i wcisnął do kieszeni marynarki. Jakoś nie mógł się przemóc, żeby zajrzeć do tekstu; szpiegowanie chyba po prostu nie leżało w jego naturze. Postanowił, że zanim to zrobi, jeszcze raz rozmówi się z główną zainteresowaną. Zapukał do drzwi jej apartamentu, ale odpowiedziała mu cisza. Nacisnął klamkę – były otwarte.

– Bailey?

Odpowiedziała mu cisza. Na podłodze salonu leżał stos notatek, rozsypany bezładnie, jak gdyby wypadł komuś z rąk, a nieco dalej – porzucone niedbale buty na obcasie, spódnica i bluzka. Jared zmarszczył brwi, zaskoczony. Mniej by go zdziwiła wiadomość, że piekło zamarzło, niż widok tego bałaganu. Zdążył już poznać swoją dyrektorkę do spraw marketingu na tyle, by wiedzieć, że jest pedantycznie porządna.

– Bailey?

Żadnej odpowiedzi. Ciszę zakłócało tylko stukanie uchylonych, balkonowych drzwi. Wiatr się wzmagał; nad horyzontem wypiętrzał się wał sinych chmur, a pod nim rozhuśtane morze lśniło stalowym blaskiem. Gdzie, u licha, była St John? Jared przeszedł przez salon i wyjrzał na taras, coraz bardziej zaniepokojony. Nagle wydało mu się, że dostrzega jasną kobiecą postać tam, gdzie fale, wysokie na niemal dwa metry, uderzały o brzeg w rozbryzgach piany. Zanim dotarło do niego, co robi, już biegł ku plaży, tak szybko, jak tylko niosły go nogi.

Bailey nie miała pojęcia, jakim cudem dotrwała do końca spotkania. Było gorzej, niż się spodziewała. Alexandre powstrzymał się od kpinek i grubymi nićmi szytych aluzji, ale za to zagrał *va banque*. Był gotów narazić na szwank politykę własnej firmy, byle tylko dostać w swoje łapska Freyę Snow, striptizerkę. Cóż za ponury absurd. Jared Stone wiązał wielkie nadzieje z kontraktem z Maison Électronique. Teraz wyglądało na to, że pertraktacje zakończą się spektakularną klapą, tylko dlatego, że na drodze do sukcesu stanęła jej niechlubna przeszłość i obsesja faceta, który ubzdurał sobie, że musi spełnić swoją zachciankę. Gdyby tylko Bailey mogła zapaść się pod ziemię, z radością skorzystałaby z tej opcji. Niestety, jedyne, co

mogła zrobić, to zebrać notatki, pożegnać się zdawkowo i dać nogę. Jared już zniknął, i dobrze; obawiała się chwili, kiedy będzie musiała spojrzeć mu w oczy.

Dlaczego ten psychopata zafiksował się akurat na niej? Choć zadawała sobie to pytanie już chyba milion razy, wciąż nie znajdowała odpowiedzi. Zamyślona, przyciskając notatki do piersi, ruszyła do swojego apartamentu. Nie pozostawało jej nic innego, jak czekać na werdykt Alexandre'a, mając nadzieję, że jednak odzyska rozsądek. Ona, ze swojej strony, wcale nie musiała czekać beczynn timer. Zaraz usiadła do komputera, skompletuje dodatkową dokumentację, żeby poprzeć swoją strategię marketingową twardymi dowodami. A potem, jeżeli wystarczy czasu, poszuka danych na temat firmy Gehrig Electronics, przeprowadzi porównanie ofert. I na pewno znajdzie argumenty, które przemówią za wyborem Stone Industries.

Nieco pokrzepiona na duchu perspektywą spędzenia reszty dnia w sposób produktywny, przyspieszyła kroku. Pogoda zaczęła się zmieniać; nagłe uderzenie ciepłego, wilgotnego wiatru zburzyło jej włosy. Zatrzymała się, żeby odgarnąć z czoła gąszcz jasnych kosmyków.

- Bailey. Mam nadzieję, że się nie pogniewasz, jeśli ci powiem, że pięknie wyglądasz. Pięknie i statecznie. Prawdziwa kobieta z klasą...

Stał tuż przed nią na szeroko rozstawionych nogach, zagradzając całą szerokość alejki. Odruchowo cofnęła się o krok, rzucając wokół spłoszone spojrzenia. Ale w zasięgu wzroku nie było nikogo. Wiatr się wzmagał, gwałtowne poddmuchy zdawały się czesać srebrną morską trawę. Krzewy żarnowca i oliwne drzewka tańczyły szalony, frenetyczny taniec w rytm szumu morza.

- Chyba się mnie nie boisz? - Alexandre uśmiechnął się nieprzyjemnie. - Zapewniam cię, że nie gryzę... o ile nie zostanę o to ładnie poproszony.

- Jeżeli masz jakieś uwagi dotyczące naszej prezentacji, chętnie wysłucham - powiedziała sztywno, zasłaniając się plikiem papierów jak tarczą.

- Prezentacja bardzo mi się podobała. - Nie przestawał się uśmiechać. - Jared Stone niezaprzeczalnie jest geniuszem, a ty w niczym mu nie ustępujesz.

- Więc dlaczego... - zaczęła, ale wpadł jej w słowo.

- Dlaczego odrzuciłaś moją propozycję, wtedy, w Las Vegas?

- Nie bierz tego do siebie - wykrztusiła. - Z zasady nie spoufalalam się z klientami, to wszystko.

- Ach, tak. Ale nie masz obiekcji przed spoufalaniem się z własnym szefem. - Pokręcił głową z naganą. - Jak wy, anglofoni, nazywacie taką postawę? Hipokryzją, czyż nie?

- Ale... ja... - Poczwała, że palą ją policzki. - Absolutnie nic mnie nie łączy

z Jaredem. Nie wiem, skąd wniosek...

- Nie wysilaj się, moja droga. Wystarczy, że znajdziecie się w jednym pomieszczeniu, a powietrze między wami aż iskrzy od erotycznego napięcia. Mówisz, że z nim nie sypiasz? To co najmniej dziwne. Moim zdaniem wręcz niezdrowe.

- Wybacz, ale nie interesuje mnie twoje zdanie na ten temat. - Zacisnęła usta.

- Rozumiem - oświadczył pojednawczo. - I nie zamierzam się wtrącać w wasze sprawy. Dobrze wiesz, na czym mi zależy, Bailey. Chcę tylko jednej nocy.

- Słucham?! - oniemiała.

- O, nie wątpię, że dobrze słyszałaś. - Zrobił krok w jej stronę. - Ponawiam po prostu moją ofertę z Vegas, z tym że teraz gotów jestem zapłacić więcej. Pięćdziesiąt tysięcy dla ciebie, plus mój podpis na kontrakcie ze Stone Industries. Możesz nie tylko sporo zarobić, ale też... pomóc mi podjąć słuszną biznesową decyzję. Wszystko w twoich rękach, Bailey.

Przez chwilę wpatrywała się w niego bez słowa, zbyt zszokowana, żeby cokolwiek powiedzieć.

- Dlaczego?! - wykrztusiła wreszcie. - Dlaczego ja?! Mógłbyś przecież mieć każdą...

- Zaręczam ci, że przez ostatnie osiem lat nie żyłem w celibacie - powiedział chłodno. - Jak na byłą striptizerkę jesteś szalenie naiwna, moja droga. Naprawdę nie wiesz, dlaczego ty? Bo tylko ty możesz stać się dla mnie Freyą Snow. Tylko z tobą przeżyję jeszcze raz tę fantazję... Dziesiątki mężczyzn przychodziło patrzeć, jak się rozbierałaś, ale żaden nie mógł cię nawet dotknąć. Chcę wziąć to, czego pragnęli oni wszyscy, ale żaden nie miał. Chcę posiąść Freyę Snow. Zawładnąć jej boskim ciałem. Chcę być jedynym, który ją poskromi.

Bailey zmusiła się, żeby stać spokojnie, choć czuła, jak dygocą pod nią nogi. Strach, jak ohydny, ruchliwy owad, pełznął wzdłuż jej kręgosłupa.

- Jesteś nienormalny, wiesz? - syknęła.

- Cóż, niewykluczone. Ale jestem też obrzydliwie bogaty, a mój drogi papa zamierza przekazać mi stery swojej ukochanej firmy. Więc mimo wszystko przemysł moją propozycję.

- A jeśli odmówię?

- Będę bardzo, ale to bardzo rozczarowany. - Alexandre westchnął dramatycznie. - A kto wie, co może zrobić człowiek niezrównoważony, kiedy spotka go taki zawód? Nie na darmo mówi się, że wariatom nie należy się sprzeciwiać.

Nie odpowiedziała. Po prostu zabrakło jej słów. On jednak nie czekał na jej

reakcję; posłał jej jeszcze jedno znaczące spojrzenie, po czym, zgiąwszy się w pół w parodii dwornego ukłonu, odwrócił się na pięcie i odszedł. Bailey długo nie mogła się poruszyć. Wreszcie, kiedy ustąpiło odrętwienie, zaczęła biec. Czuła się... brudna. Jak gdyby lepkie spojrzenia napalonych facetów tłoczących się w strip-clubach trwale przylgnęły do jej skóry. Była tym, kim była – striptizerką. Rozbierała się za pieniądze. Czy miała prawo się oburzać, że ktoś wybrał ją na obiekt swoich chorych fantazji? Chyba nie.

Udręczona, biegła coraz szybciej. Do diabła z pracą. Do diabła ze wszystkim. Marzyła teraz tylko o jednym – o samotności. O miejscu poza czasem, gdzie przeszłość by jej nie prześladowała, a przyszłość nie niosła niepewności i stresu. Wpadła do swojego apartamentu i, niewiele myśląc, cisnęła notatki na podłogę. W ślad za nimi powędrowały buty, a potem ubranie. Bailey włożyła kostium kąpielowy i pobiegła na plażę. Fale, gnane coraz mocniejszym wiatrem, podążały ku brzegowi chybotliwymi, spienionymi korowodami, by załamywać się z hukiem u stóp skalistego klifu. Odetchnęła głęboko, odrzuciła włosy na plecy. A potem ruszyła naprzeciw falom, oddając się we władanie żywiołu.

Przyjemnie ciepła, rozhuśtana woda uniosła ją, ukołysała, niczym ramiona łagodnego olbrzyma. Bailey popłynęła, mocnymi ruchami wdzierając się coraz głębiej w objęcia morza. Tutaj nikt jej nie obserwował, nie oceniał. Mogła porzucić maskę; fale, w których nurkowała, były równie słone jak jej łzy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kiedy Jared dobiegł na plażę, pływaczka znajdowała się już daleko, poza linią przyboju. Fale, coraz wyższe, przewracały się z hukiem, jęzory piany podpełzały, sycząc, ku jego stopom. Osłonił oczy dłonią, skupiony jak sportowiec przed startem, gotów rzucić się w morze, na ratunek Bailey.

Nie mógł pozwolić sobie na to, żeby ją stracić. Pojął to w ułamku sekundy i była to myśl tak niezwykle jasna i wyrazista, jak gdyby tę chwilę oświetlił blask nieskończoności. Jeśli współpraca z Maison Électronique nie dojdzie do skutku – trudno, odżaluje ostatnie miesiące, które poświęcił przygotowaniom kontraktu i rozejrzy się za innym partnerem w biznesie. Jeśli nawet straciłby firmę, zająłby się po prostu budowaniem nowej. Ale wszelkie porażki, jakie mogły go spotkać, wydawały się niczym w porównaniu z obawą, że Bailey mogłaby zniknąć z jego życia. Potrzebował jej, nie tylko dlatego, że była znakomitym fachowcem. Pragnął jej, nie tylko dlatego, że była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział.

Gdyby jej zabrakło, wszystko straciłoby sens. I sukcesy zawodowe, i proste przyjemności. Gdyby miał już nigdy jej nie zobaczyć, nie potrafiłby dalej wieść swojego beztroskiego, niezależnego życia. Zgniółłby go ciężar ponurej samotności.

– Bailey! – krzyknął ile sił w płucach, nie tracąc czasu na roztrząsanie tego, co właśnie odkrył, ale jego głos był bez szans wobec potężnego ryku morza. Jednym kopnięciem zrzucił buty... i wyhamował, zanim wbiegł do wody. Bailey nie była w żadnym niebezpieczeństwie; płynęła spokojnie, pewnymi ruchami ramion, pozwalając, żeby wędrujące ku brzegowi wodne góry niosły ją na swoich grzbietach. Jared poczuł taką ulgę, że aż parsknął śmiechem. Ależ spanikował! A mógł przecież przewidzieć, że St John pływa równie dobrze, jak gra w tenisa albo tańczy. Czy było w ogóle coś takiego, co ta dziewczyna robiła źle? Wątpił.

Usiadł na piasku i patrzył z przyjemnością, jak Bailey zbliża się do brzegu, a potem wychodzi na piasek. Jej jasna postać w białym kostiumie zdawała się lśnić na tle nieba, ciężkiego od chmur o barwie ołowiu. Wiatr robił się coraz chłodniejszy, ale pływaczce zdawało się to w ogóle nie przeszkadzać; zadrżała dopiero wtedy, kiedy jej wzrok padł na niego.

– Muszę cię o coś prosić – wyrzuciła z siebie gwałtownie. Drżała teraz na całym ciele, bezradnie obejmując się ramionami. – Wycofaj mnie z negocjacji. Ogłoś,

najlepiej zaraz, że odesłałaś mnie do Stanów, nie wiem, z powodu choroby. Albo niesubordynacji. Wymyśl cokolwiek, byleby się mnie stąd pozbyć. Istnieje spora szansa, że kiedy zejdziesz ze sceny, Alexandre zmieni podejście do sprawy i podpisze kontrakt. Wbrew temu, co powiedział na spotkaniu, nie ma żadnych obiekcji co do naszej oferty. Chodzi mu tylko o...

– No właśnie, Bailey. – Jared podniósł się powoli. – Może odważysz się wreszcie powiedzieć mi, o co mu chodzi?

Spuściła wzrok. A potem uniosła głowę i posłała mu spojrzenie pełne gniewnego uporu. Zobaczył w jej oczach łzy i poczuł, że coś chwyta go za gardło.

– Nie. – Pokręciła głową. – Już ci mówiłam, że to sprawa osobista. Nie chcę o tym mówić.

Sprawa osobista? Dobre sobie. Jared chciał powiedzieć, że ta sprawa przestała być osobista w chwili, gdy Alexandre uznał ją za narzędzie szantażu. Zresztą, Bailey nie musiała się przed nim spowiadać. Nie wątpił, że wydruki, które miał przy sobie, zawierają rozwiązanie zagadki. Sięgnął do kieszeni, ale zatrzymał się w pół gestu.

Bailey dygotała coraz mocniej, a palce, które wciąż zaciskała na przedramionach, były upiornie sine. Nie, to stanowczo nie był dobry moment na dyskusję. Niewiele myśląc, chwycił ją w ramiona i ruszył wielkimi krokami ku domowi, przyciskając do piersi jej szczupłe, mokre ciało. Może i chciała zaprotestować, ale nie mogła; szczękała zębami jak w febrze. Jared skierował się prosto do swojego apartamentu, wszedł do łazienki i bezceremonialnie postawił dziewczynę pod prysznicem.

– Teraz najważniejsze jest, żebyś się rozgrzała, bo inaczej może się okazać, że wiadomość o twojej chorobie nie byłaby ani trochę przesadzona – burknął, odkręcając gorącą wodę. – Wykąp się; zaraz przyniosę ci sweter. Ja tymczasem rozpalę w kominku. Usiądziemy, wypijemy po kieliszku koniaku i porozmawiamy.

Okropnie zażenowana, Bailey pokiwała tylko głową. Ciepły, mocny strumień wody przynajmniej częściowo spełnił swoje zadanie; po chwili nie trzęsa się już, a jej zdrętwiałe palce odzyskały czucie. Co z tego, skoro stres wciąż trzymał ją za gardło lodowatym, dławiącym uściskiem? Nie miała pojęcia, jak przetrwa rozmowę z Jaredem.

Zakręciła wodę, wytarła się ręcznikiem wielkim jak prześcieradło, po czym z wahaniem sięgnęła po granatowy wełniany sweter, który znalazła przewieszony przez uchylone drzwi łazienki. Szorstki materiał drażnił nagą skórę, ale i przyjemnie rozgrzewał. Sweter sięgał jej do połowy ud; zasunęła suwak pod samą szyję i uznała, że jest w miarę przyzwoicie ubrana.

– Rozgość się. – Jared wskazał jej sofę stojącą naprzeciwko kominka, w którym pierwsze jasne płomienie tańczyły na starannie ułożonych, drewnianych szczapach. Usiadła posłusznie, podciągając kolana pod brodę i okrywając nogi materiałem swetra tak, że sięgał kostek. Kiedy podał jej kieliszek, przyjęła go z wdzięcznością i upiła maleńki łyk mocnego, aromatycznego trunku.

– Bailey, nie możemy tego dłużej tak ciągnąć. – Jared usiadł naprzeciwko niej w fotelu. – Chcę, żebyś powiedziała mi prawdę. Całą prawdę. Co ty ukrywasz? Dlaczego ten dupek Alexandre wyobraża sobie, że ulegniemy jego szantażom?

– Nie pytaj mnie – wyszeptała, obejmując kolana ramionami i splatając palce. – Proszę, zostawmy to.

– Dostyc tych uników. – Ton jego głosu stwardniał. – Prawda i tak wyjdzie na jaw, pytanie tylko, czy w sposób mniej, czy bardziej przyjemny. Widzisz tę kopertę? Mam w niej historię twojego życia. Fakty, daty, zdjęcia.

– Jak mogłeś zrobić coś takiego...? – Pobladła, wpatrując się w Jareda ze zgrozą, jak gdyby właśnie wyciągnął z kieszeni jadowitego węża.

– Ja nic nie zrobiłem – uśmiechnął się chłodno. – Przygotował to prywatny detektyw, który dla mnie pracuje. Jeszcze nie otworzyłem tej koperty, Bailey. Wierz mi, wolałbym usłyszeć prawdę z twoich ust. Proszę cię, spróbuj mi zaufać.

Jak miała to zrobić? Nauczyła się już w dzieciństwie, że zaufanie nie popłaca. Za każdym razem kończyło się bolesnym rozczarowaniem. Całe życie kierowała się zasadą, żeby liczyć tylko na siebie i nigdy, przenigdy nie odkrywać kart. Wciąż milczała, kiedy Jared podniósł się z fotela, podszedł do kominka i wrzucił kopertę prosto w ogień. Żarłoczne płomienie rzuciły się na papier i strawiły go w kilka sekund, wybuchając wysokim, niemal białym słupem. Bailey długo patrzyła w ogień, aż wreszcie łzy wzruszenia przesłoniły jej widok. Jared jej ufał. Wierzył, że wyzna mu prawdę. Poczwała, że nie ma innego wyjścia, i zmusiła się, żeby zignorować lodowaty dreszcz przerażenia. Z tej drogi nie było odwrotu. Przez osiem długich lat robiła wszystko, żeby zbudować sobie nową, nieposzlakowaną tożsamość. Za chwilę cała ta misterna budowla legnie w gruzach. Jej kariera będzie skończona, marzenia nigdy się nie spełnią...

– Alexandre Gagnon przychodził mnie oglądać, kiedy tańczyłam w Czerwonym Buduarze – usłyszała swój własny, zduszony głos. Serce tłukło się w jej gardle, niemal ją dławiąc.

– Czerwony Buduar? – Jared zmarszczył brwi. – Czy to nie jest przypadkiem klub dla tak zwanych dżentelmenów, oferujący striptiz i... inne tego typu atrakcje?

– Owszem. Nie mylisz się. – Spojrzała mu prosto w oczy ze straceńczą odwagą,

jak ktoś, kto stawia wszystko na jedną kartę. – Byłam striptizerką, Jared. Wychodziłam na scenę i rozbierałam się za pieniądze.

Zobaczyła, jak zacisnął szczęki, a potem odetchnął jak człowiek, który z dużym wysiłkiem nakazuje sobie spokój.

– Opowiedz mi o tym – wychrypiał.

– Byłam zaraz po maturze. – Wypiła kolejny łyk koniaku. Alkohol rozgrzewał; uchwyciła się tego uczucia jak liny ratunkowej. – W rodzinnym Laketown miałam jedną przyjaciółkę, kompletną wariatkę. Kiedy zaczęły się wakacje, namówiła mnie, żebyśmy pojechały autostopem do Las Vegas. Zgodziłam się; tak naprawdę to marzyłam o studiach, ale wiedziałam, że jestem bez szans. Po wakacjach miałam zacząć pracę jako kasjerka w supermarkecie. Byłam pewna, że życie ma dla mnie gotowy scenariusz: praca, mąż, dzieci, bieda. Postanowiłam więc, że pozwolę sobie na chwilę szaleństwa. Nie miałam absolutnie nic do stracenia. Zabrałyśmy wszystkie oszczędności i ruszyłyśmy w podróż. Zachłysnęłyśmy się wielkim światem; Vegas wydawało nam się wtedy rajem na ziemi. Traf chciał, że już pierwszego dnia zobaczyłyśmy ogłoszenie jednego z podrzędnych strip-clubów, który poszukiwał tancerek. Moja przyjaciółka uparła się, żebyśmy poszły na casting. Zgodziłam się całkiem chętnie. Miałam wtedy przemożne wrażenie, że przeżywam ostatnie chwile wolności. Poszłyśmy więc, wystrojone w sukienki z cekinami i frędzliste kowbojki... Kiedy wyczytano moje nazwisko i wyszłam na scenę. Myślałam, że to jest tylko zabawa. Od zawsze uwielbiałam tańczyć i tamtego dnia dałam z siebie wszystko. Efekt był taki, że zaproponowano mi pracę... Słyszając to, zaczęłam się śmiać, ale kiedy wymieniono kwotę honorarium, spoważniałam. Poczułam się, jakbym złapała Pana Boga za nogi. Dokonałam błyskawicznych obliczeń. Po kilku miesiącach mogłabym odłożyć tyle, żeby opłacić pierwszy semestr studiów. Skończyło się tak, że moja przyjaciółka wróciła do domu, a ja zostałam. Rodzicom powiedziałam tylko, że znalazłam dobrą pracę i zamierzam podjąć studia. Mama życzyła mi szczęścia, ale ojciec był mniej przychylny. Kazał mi wybić sobie z głowy bzdury i natychmiast wracać do domu, gdzie moje miejsce. Kiedy odmówiłam, oświadczył, że wobec tego nie chce mnie więcej znać. Było mi to w sumie na rękę. Dom kojarzył mi się z biedą i wiecznym strachem przed pijackimi wyskokami ojca. Naprawdę nie chciałam tam wracać.

– Woliałaś zostać striptizerką? – Głos Jareda brzmiał głucho.

– A żebyś wiedział. – Odwróciła wzrok. Bała się, że zobaczy na jego twarzy wyraz obrzydzenia. Albo litości. Sama nie wiedziała, co byłoby gorsze. – Początki były bardzo trudne, bo, co tu dużo mówić, słoma wylażała mi z butów. Staralam się

nie zwracać uwagi na szyderstwa koleżanek po fachu i każdą chwilę poświęcałam na naukę. To była niezła szkoła życia... Po paru miesiącach zmieniłam się nie do poznania. Nikt by się nie domyślił, że pochodzę z biednej rodziny, mieszkającej w przyczepie kempingowej na przedmieściach.

– Kiedy mówisz, że pracowałaś w strip-clubie... co dokładnie masz na myśli? – spytał cicho.

Objęła się mocniej ramionami. Wiedziała aż za dobrze, o co chciał zapytać.

– Ciekawi cię, czy sypiałam z klientami? – rzuciła, krzywiąc usta.

– Owszem – padła odpowiedź. – Ciekawi mnie to.

– A jeśli powiem, że tak? – podniosła głos, bezradna wobec bólu, który ścisnął jej serce. – Zrobi ci to różnicę?

– Do diabła, Bailey, odpowiedz mi na pytanie!

– Wychodziłam na scenę – powiedziała powoli, akcentując każde słowo. – Tańczyłam. Rozbierałam się. Podnieceni faceci rzucali mi banknoty. Zbierałam je, a potem wracałam do siebie, żeby siedzieć nad książkami. Koniec, kropka.

– Rozumiem. – Odetchnął głęboko. – A Alexandre Gagnon? Co on ma z tym wszystkim wspólnego?

– Kiedy tańczyłam w Czerwonym Buduarze, przychodził na każdy mój występ. Nie ukrywał, że liczy na... bardziej osobiste potraktowanie, ale ja z zasady odmawiałam. Aż pewnego wieczora przyszedł do garderoby i oświadczył, że zapłaci pięćdziesiąt tysięcy dolarów, jeśli spędzę z nim noc.

– A ty odmówiłaś. – Pokiwał głową. W jego głosie była niezachwiana pewność. Bailey poczuła, że robi jej się trochę lżej na duszy.

– Tak. Wyrzuciłam go za drzwi. Nie wrócił więcej do Czerwonego Buduaru, w każdym razie nie za moich czasów. Byłam pewna, że już nigdy go nie spotkam... Nie miałam pojęcia, że on i Alexandre Gagnon to jedna i ta sama osoba, aż do chwili, kiedy go zobaczyłam na jachcie.

Zamilkła, a Jared nie przerwał ciszy; siedzieli tak, wpatrując się w ogień. Za oknem huczał wiatr, pierwsze ciężkie krople letniej ulewy uderzały o szyby.

– Teraz wszystko jasne – odezwał się Jared po długiej chwili. – Trafiałaś na faceta z ego wielkości Mount Everestu, przekonanego, że ma prawo do każdej zachcianki tylko dlatego, że jest bogaty. Upokorzyłaś go, a to więcej, niż mógłby znieść. Więc kiedy się zorientował, że jest okazja do wyrównania rachunków z tobą, wszystko inne przestało dla niego istnieć. Dobro rodzinnej firmy ma w głębokim poważaniu.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo masz rację – powiedziała gorzko. – Wyobraź sobie, że zaczepił mnie w ogrodzie, po prezentacji. Oświadczył, że podbija stawkę. Jeśli

spędzę z nim noc, dostanę pięćdziesiąt tysięcy i na dokładkę jego podpis na kontrakcie. A jeśli nie... boję się, Jared. Boję się, że jego furia obróci się przeciwko tobie. Wystarczy, żeby rozgłosił, że pan Stone wybrał na stanowisko dyrektora marketingu byłą striptizerkę i jej właśnie powierzył opracowanie strategii pozyskiwania klientów! Dobry żart, nieprawdaż? Prasa z rozkoszą to rozgłosi i w efekcie Stone Industries stanie się synonimem żenady i obciachu. Twoja „Deklaracja programowa” to doprawdy głupstwo w porównaniu z tym, w jakie kłopoty ja wpędzę firmę.

Podniosła się z miejsca i zaczęła nerwowo krążyć po pokoju.

– Gdybym tylko mogła... – wyrzuciła z siebie, podchodząc do okna – Gdybym tylko mogła, zrobiłabym to. Niechby dostał, czego tak bardzo chce, byleby tylko odzepił się od firmy. Ale nie mogę! Nie potrafiłabym... – W jej głosie była wściekłość i bunt. – Więc naprawdę muszę wyjechać. Jestem ci kulą u nogi. Jeśli zniknę, Alexandre zacznie zachowywać się rozsądnie. Na pewno odniesiesz sukces...

Wbiła wzrok w szary horyzont, aż do bólu zagryzła wargi. Łzy piekły ją pod powiekami, ale nie zamierzała pozwolić im popłynąć. Nawet jeśli jej życie właśnie rozsypywało się w gruzy... Teraz, kiedy Jared wiedział już wszystko, z pewnością nie tylko odeśle ją do Stanów, ale i pozbawi stanowiska. Cóż, byłoby to w pełni zrozumiałe. Ona nie będzie miała innego wyjścia, jak tylko zmienić pracę, uciec jak najdalej od Krzemowej Doliny, Stone Industries i Jareda. Już nigdy go nie zobaczy... Na myśl o tym serce jej się ścisnęło. Bezradna wobec własnych uczuć, ukryła twarz w dłoniach i aż krzyknęła z zaskoczenia, kiedy nagle znalazła się w silnym uścisku Jareda.

Napięte mięśnie jego ramion drżały lekko, jak gdyby z trudem hamował wzburzenie. Nie protestowała, kiedy obrócił ją twarzą ku sobie i mocno przytulił do piersi.

– Zabraniam ci – w jego cichym głosie pojawił się głuchy, złowróźbny ton – zbliżać się do Alexandre’a. Naprawdę myślisz, że pozwoliłbym ci zapłacić taką cenę za podpisanie kontraktu, obojętnie jak zyskowego? Jesteś mi droższa niż... zresztą to w tej chwili nieważne. Wróćmy do meritum. Nie zamierzam odsyłać cię do Stanów. Potrzebuję cię, Bailey. Nie mam pojęcia, jakim cudem dotąd radziłem sobie bez ciebie u boku. Jeśli mamy odnieść sukces, zrobimy to razem. Jesteśmy zespołem i nie zmienią tego żadne zewnętrzne naciski.

– Jared... – Pokręciła głową. Chciała mu powiedzieć, że powinien być rozsądny, ale nie mogła wydobyć głosu. Gwałtowne wzruszenie zalało ją, niczym potężna fala przyływu, zmiatając wszystkie tamy, jakimi przez lata obwarowała swoje serce.

Nie potrafiła już powstrzymać łez. Popłynęły po jej policzkach jak przynoszący nadzieję wiosenny deszcz.

- Jezu, Bailey, co z tobą? - Nie wypuszczał jej z objęć. - Naprawdę przypuszczałaś, że kiedy wyznasz mi prawdę, pozbędę się ciebie? Przecież projekt partnerstwa z Maison Électronique to w dużej części twoje dzieło. Gdyby nie ty, nie mielibyśmy szans na sukces.

- Myślałam, że stracisz do mnie cały szacunek. - Usta jej drżały. - I że nie będziesz chciał mnie widzieć.

- To źle myślałaś. - Zajrzał jej w oczy. - Bailey, szacunek to mało. Ja ciebie podziwiam. Za twoją niesłyszananą siłę i wytrwałość. Za to, że się nie poddałaś, tylko wywalczyłaś sobie miejsce na świecie.

- Nigdy sobie nie wybaczę, jeżeli przeze mnie stracisz ten kontrakt - wyszeptała.

- Po pierwsze, to tylko kontrakt. A po drugie, nawet jeśli go stracę, to nie przez ciebie. Przez ciebie, Bailey, a raczej dzięki tobie, mogę tylko zyskać.

Nie musiała pytać, co miał na myśli; zobaczyła to w jego spojrzeniu, tak intensywnym, że niemalże groźnym. Wspięła się na palce i dotknęła ustami jego ust, dając mu do zrozumienia, że myśli dokładnie to samo. Przez chwilę jeszcze mierzyli się wzrokiem, badawczo i przenikliwie, a kiedy pewność wzięła górę nad niedowierzaniem, a radość nad zdumieniem, zaczęło się im nagle bardzo spieszyć. Bailey uniosła ramiona, wplotła palce w jego włosy, grube i gęste niczym jedwab. Wciąż w niego wpatrzona, powiodła opuszkami palców wzdłuż linii jego pociągłej twarzy. Kochała... kochała to wysokie, myślące czoło, podkreślone wyrazistymi, szerokimi łukami brwi. Twardą rzeźbę policzków, szorstkich od kielkującego zarostu. Usta, zmysłowo wykrojone, przecięte wąziutką bladą linią starej blizny. Nigdy go nie spytała, kiedy dorobił się tej blizny, ale w tej chwili chciała wierzyć, że pewnego dnia to zrobi. Kiedy będą leżeć razem w łóżku w leniwy niedzielny poranek. Albo przy wspólnym śniadaniu... Było mnóstwo rzeczy, w które nagle chciała uwierzyć.

Jared przygarnął ją do siebie mocniej. Przeniknął ją dreszcz, kiedy dotknął nasady jej karku, zamknął w dłoni wilgotne pasma włosów i pociągnął lekko, zachęcając, by uniosła ku niemu twarz. Przymknęła oczy i poczuła pieszczotę jego ciepłych warg na delikatnej skórze powiek. To było rozkoszne. I niespodziewane. Wtuliła się w niego i rozchyliła usta, bez słów prosząc o więcej. Spełnił jej życzenie; pocałunek był gwałtowny, niemalże brutalny i zarazem cudownie, niewiarygodnie słodki. Bailey jęknęła, bezwiednie uniosła nogę, żeby objąć jego biodra, przylgnąć do niego jeszcze mocniej... i nagle uświadomiła sobie, że pod swetrem nie ma absolutnie

niczego. Jeśli Jared wsunie dłoń pod gruby, wełniany materiał, będzie mógł dotykać jej nagiego ciała. Dotykać go tam, gdzie było najwrażliwsze... tam, gdzie zaczynało pulsować gorącą, przemożną tęsknotą.

Pod swetrem była naga. Ta myśl była jak iskra zapłonu i w następnej sekundzie ciało Jareda stało w ogniu. Pragnął jej do szaleństwa. Przesunął dłonie niżej, dotknął ciepłej, delikatnej skóry. Nie zaprotestowała; z gardłowym jękiem odchyliła głowę w tył i sugestywnie, nagłaco poruszyła biodrami. Nie potrzebował dalszej zachęty. Jego ręce drżały z niecierpliwości, kiedy wsuwał je pod materiał swetra. Z dreszczem zachwytu powiódł palcami w górę jej ud. Wiedział już, że Bailey jest zbudowana jak bogini, ale teraz po raz pierwszy mógł dotykać tych wszystkich cudowności. Kształtne smukłe nogi, o skórze gładkiej jak jedwab... hojnie zaokrąglone kobiece biodra... całkiem spore, jędrne pośladki... delikatna, wąziutka talia i wreszcie piersi, idealnie wypełniające jego dłonie niczym dwa soczyste, słodkie owoce.

Frajerzy, biedni, żałośni frajerzy, pomyślał o tych wszystkich facetach, którzy płacili, żeby oglądać jej nagość. Cóż, widzieli to, co chcieli widzieć: ładne, puste obrazki. Dla niego Bailey była pełna treści. Niewiarygodnie ambitna i ponadprzeciętnie inteligentna. Wkurzająco uparta i zaskakująco wrażliwa. Czuł się wyróżniony, że zechciała tak bardzo się przed nim odsłonić.

Tymczasem ona przejęła inicjatywę, korzystając z tego, że ręce miał spętane materiałem swetra. Jej usta drgnęły w szalonym, niebezpiecznym uśmiechu. Zacisnęła palce na kołnierzyku jego koszuli i szarpnęła potężnie, aż guziki posypały się na ziemię, a rozdarty materiał ukazał nagą, muskularną pierś. Wydała z siebie pomruk zadowolonej lwicy i bez ostrzeżenia wbiła zęby w wydatny, napięty mięsień męskiego torsu.

Tego było już za wiele. Uniósł ją w ramionach i zdecydowanym krokiem skierował się do sypialni. Musiał ją mieć. Musiał, jeśli nie chciał zginąć. Rzucił ją na łóżko, a kiedy opadła, ukląkł pomiędzy jej nogami. Pochylił się, dotknął wargami wnętrza jej ud. Nogi miała cudownie długie, zgrabne i gładkie. Pomyślał, że Bailey za chwilę oplecie go nimi, i poczuł przyływ żądy, gwałtowny, ostry jak dźgnięcie ostrogą. Gdy odszukał ustami miejsce, gdzie jej kobiecość rozkwitała dla niego, pulsując gorącą wilgocią, krzyknęła głucho. Wzmocnił pieśczętę, a ona niemal natychmiast targnęła się, wstrząsana spazmem rozkoszy. Zachwyty spłynął potężnym dreszczem po jego plecach. Bailey była wspaniała, jedyna i niepowtarzalna, jak rzadki egzotyczny kwiat.

Uniósł się nad nią i sięgnął do zapięcia spodni, ale wtedy ona poderwała się do

pozycji siedzącej.

– Jared, musisz wiedzieć, że... – wyszeptała, spuszczać wzrok. – Ja jeszcze nigdy...

Nie dokończyła. Nie musiała. Zobaczyła, jak zrozumienie maluje na jego twarzy wyraz absolutnego szoku. Pobladł gwałtownie, a ona poczuła, że policzki palą ją z zażenowania.

Po co mu mówiła?! Stanowczo, straciła okazję, żeby siedzieć cicho.

– Jesteś dziewczyną?! – wydusił, osłupiały.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Bailey pomyślała przelotnie, że chyba nigdy nie zrozumie facetów. Jared przyjął mężnie wiadomość o tym, w jaki sposób zarabiała na życie w czasach studenckich, ale teraz wyglądał, jakby dostał obuchem w głowę.

– Owszem – starała się nadrobić miną. – Jestem dziewicą, ale wiesz, to nie jest zaraźliwe, więc nie masz się czego bać.

– Zaraz, chwileczkę. Zreasumujmy. – Usiadł na brzegu łóżka, a ona podkuliła nogi, chowając je pod swetrem. – Masz dwadzieścia dziewięć lat. Jesteś była striptizerką i dziewicą?

– Jeśli masz zamiar dodać ten opis do mojego profilu na stronie internetowej firmy, to od razu mówię, że jestem przeciw – rzuciła, mrużąc oczy.

– Nie rozumiem, jak to możliwe. – Pokręcił głową.

– Więc pozwól, że ci wytłumaczę. Po prostu jeszcze nigdy nie byłam w łóżku z mężczyzną. Ty jesteś pierwszy. Naprawdę nie wiedziałam, że ta wiadomość tak bardzo cię zmartwi.

– Dlaczego...? – dociekał.

– A skąd ja mam wiedzieć? – Wzruszyła ramionami. – W liceum byłam nieśmiałym, zahukanym brzydkim kaczątkiem. Potem zaczęli mnie otaczać faceci, którzy ślinili się na mój widok, a tak się składa, że nie podniecają mnie ani prymitywne teksty, ani grube portfele.

– Ach, tak? – Uniósł brew. – Więc jak to się stało, że dla mnie zrobiłaś wyjątek?

Bo to na ciebie całe życie czekałam, pomyślała z nagłym wzruszeniem. Bo fascynuje mnie twój umysł, twoje ciało zachwyca mnie i rozpala, a jeśli chodzi o charakter... ogromnie zyskujesz przy bliższym poznaniu.

– Jared... – szepnęła tylko, wyciągając do niego ramiona.

– Nie. – Zerwał się na równe nogi i zaczął gorączkowo krążyć po pokoju. Frustracja sprawiała mu niemal fizyczny ból. – Nie mogę. Nie jestem mężczyzną, z którym chciałabyś przeżyć swój pierwszy raz, wierz mi. Poza tym... Dziewice to naprawdę nie moja bajka.

Ach, tak. Aż za dobrze pamiętała odnośny fragment jego słynnej „Deklaracji”. Jak to szło?

Jeśli Ci życie miłe, trzymaj się z daleka od dziewic. Bo jeśli wpuścisz jedną z nich

do swojego życia, ona wywróci je do góry nogami. Wciągnie Cię do gry, w której zwycięzca bierze wszystko, a potem znokautuje Cię, nie dając najmniejszych szans na obronę. Dziewice nie umieją spontanicznie podejść do sprawy. Nie rozumieją tekstu „sprawdźmy, dokąd nas to zaprowadzi...”

– Był taki moment, kiedy przekonywałeś wszystkich, że „Deklaracja” była tylko żartem. – Zmrużyła oczy. – I wiesz co? Ja ci uwierzyłam. Doszłam do wniosku, że nie mógłbyś takich bzdur wygłaszać poważnie. Mówię z doświadczenia, bo jestem dziewczyną, a do głowy by mi nie przyszło dybać na twoją wolność. Jeśli poszłabym z tobą do łóżka, to dlatego, że pragnę ciebie, a nie domku z białym płotem. Za złotem nie przepadam, brylanty, jeśli przyjdzie mi ochota, sama sobie kupię. A jeśli kiedykolwiek wyjdę za mąż, to tylko za człowieka, który będzie chciał tego równie mocno jak ja.

– Bailey...

– Nic nie mów... – Podniosła się z łóżka i stanęła naprzeciw niego. – Najpierw zobacz, co mam do zaoferowania. I pamiętaj, że nie chcę od ciebie żadnych obietnic. Ja nie biorę jeńców.

Ruszyła ku niemu płynnym, tanecznym krokiem, kusząco poruszając biodrami. Zatrzymała się w pół drogi, uniosła dłonie i zburzyła włosy, a potem odchyliła głowę w tył, pozwalając, by spłynęły na plecy lśniąca, srebrzysta chmura. Nie mógł oderwać wzroku od jej dłoni, kiedy powoli, jakby z rozmarzeniem, powiodła nimi wzdłuż własnego ciała, sugestywnie obrysowując piersi talię i biodra. Poruszyła się, uwalniając jedno ramię spod materiału swetra, pozwalając, żeby opadł nisko, niemal odsłaniając pierś. A potem sięgnęła do suwaka. Jared nigdy by nie przypuścił, że rozpinanie zamka błyskawicznego może stanowić atrakcyjny widok, ale zmienił zdanie, kiedy zobaczył, jak robi to Bailey. Jej ciało poruszało się zmysłowo niczym biały roztańczony płomień, milimetr po milimetrze uwalniając się spod zasłony ciemnego materiału. Jared poczuł, że zasycha mu w ustach. Kiedy wreszcie sweter opadł na ziemię u jej stóp, zrobiła kolejny krok ku niemu, naga, piękna i wolna, jak Ewa w raj.

– Boisz się mnie? – wymruczała, zaglądając mu w oczy.

A on, patrząc na jej olśniewającą nagość, poczuł lęk – lęk człowieka, który dostał w swoje ręce bezcenny skarb i wie, że jeśli popełni błąd, bezpowrotnie go straci.

– Bailey... – Teraz on wyciągnął do niej ramiona. Nie zamierzał popełnić błędu. – Naprawdę jesteś na to gotowa?

– A ty? – odpowiedziała zadziornie, mrużąc swoje piegowate powieki.

– Sam nie wiem... – uśmiechnął się szeroko. – Może sprawdzisz?

Dotknęła go tam, gdzie czekał na nią, twardy, nabrzmiały pożądaniem.

– Och! – wyrwało jej się. Usłyszał w tym westchnieniu szczere, pełne zachwytu zdumienie i pomyślał, że nigdy nie został tak pięknie skomplementowany przez kobietę.

– Doprowadzasz mnie do szaleństwa – wychrypiał. Sam nie wiedział, kiedy znaleźli się z powrotem na łóżku.

– Naprawdę? – Rozchyliła usta, kiedy uklęknął obok niej i wolno powiódł wargami w dół jej delikatnej szyi, ku łagodnym wzgórzom piersi. Jęknęła, gdy dotarł do twardego sutka i zaczął pieścić go językiem. Jęknęła znowu, kiedy przykrył dłonią jej łono i znieruchomiał na chwilę, wpatrzony w nią pociemniałym wzrokiem.

– Jared...

Nigdy jeszcze nie przeżył niczego podobnego. Nigdy nie doświadczył tak czystego zachwytu, tak gwałtownego szaleństwa zmysłów. Ręce drżały mu z niecierpliwości, kiedy gwałtownie pozbywał się ubrania. Patrzyła na niego oczami rozszerzonymi z pożądania, a on niemal czuł na nagiej skórze gorącą, intensywną pieśczętę jej wzroku. Pochylił się i pocałował ją w usta, a kiedy poczuł subtelny dotyk jej języka, to było tak, jakby wypełnił go ogień.

Jej dłonie drżały, kiedy przesuwawała je w dół jego pleców, a usta, wciąż złączone z jego ustami, rozchyliły się szerzej. Był... taki piękny. Wspaniale zbudowany, silny i zachwycająco męski.

Kochała go – pojęła to w tej właśnie chwili z całkowitą jasnością. Gdyby zechciał, bez wahania oddałaby mu o wiele więcej niż ciało. Oddałaby mu całe życie, na dobre i na złe, aż do śmierci.

Pożądanie tętniło w nim, wzbierało jak wrząca lawa. Nie przerywając pocałunku, musnął czubkiem członka jej kobiecość, zanurzył się w wilgotną miękkość. Kiedy zadrżała, przytulił ją mocno, jakby chciał zapewnić, że jej nie skrzywdzi. Ale ona nie czuła lęku. Objęła go, wbiła paznokcie w jego ramiona, niecierpliwie, nagląco. Nakazując sobie delikatność, odnalazł drogę, wnikał w nią coraz głębiej, milimetr po milimetrze, aż wreszcie poczuł, jak delikatna przeszkoda ustępuje pod naporem jego twardej męskości. Bailey targnęła się w jego objęciach z cichym okrzykiem, a jej twarz na mgnienie oka wykrzywił grymas bólu.

– Kochanie – wychrypiał, z ustami przy jej ustach – jeżeli tylko chcesz, żebyśmy przestali...

– Ciii – przerwała mu pocałunkiem. – Nic nie mów. Kochaj mnie.

Prędzej by zginął, niż zakończył ten akt zbyt szybko. Wiedział, że Bailey

potrzebuje jego cierpliwości i czasu, żeby do końca otworzyć się na zmysłową rozkosz. Delikatnie zmienił pozycję, wycofując się na tyle, by móc wsunąć dłoń pomiędzy ich ciała i pieścić jej najczulsze miejsce.

Jej oczy zaszły mgłą, a oddech stał się urywany. Kiedy poczuł, jak jej smukłe ciało wije się pod nim, musiał zmobilizować całą siłę woli, jaką posiadał, żeby utrzymać na wodzy własne pożądanie. Chciał zobaczyć, jak Bailey dociera na szczyt rozkoszy.

Nie czekał długo. Nagle, niespodziewanie, targnął nią silny spazm, a potem następny i kolejny. Otworzyła usta jak do krzyku, a w dźwięku, który się z nich wydobył, było zaskoczenie... i triumf. Nie odrywając oczu od jej twarzy, zaczął się w niej poruszać, podsycając jej rozkosz coraz mocniejszymi, coraz szybszymi pchnięciami. Aż wreszcie i on się poddał, zadygotał w potężnym wybuchu spełnienia i opadł na nią, bez tchu, bez siły.

Przygarnęła go z czułością, która go zaskoczyła, a kiedy obsypała jego twarz pocałunkami, było w tym geście coś uroczo dziewczęcego. Usłyszał jeszcze, jak Bailey wzdycha z satysfakcją, i zapadł w rozkoszny letarg.

– Kocham cię, Jaredzie Stone – wyszeptała, wtulając się w niego. Nie wiedziała, czy słyszał jej słowa. Jego pierś poruszała się rytmicznie, jakby spał.

Z drzemki wyrwał ich dźwięk telefonu. Magiczny nastrój prysł; poderwali się oboje, zmieszani, zawstydzeni nagością, jak Adam i Ewa po zjedzeniu jabłka.

– Słucham? – Jared podniósł aparat do ucha, a Bailey podciągnęła prześcieradło pod szyję, przysłuchując się rozmowie z irracjonalnym niepokojem.

– David zaprasza nas na obiad do willi – oznajmił, rozłączając się. – Myślę, że powinniśmy pójść.

– O nie, tylko nie to – jęknęła.

– Alexandre’em się nie martw. Pamiętaj, że prezesem Maison Électronique wciąż jest David. Nie sądzę, by był skłonny ponieść stratę tylko dlatego, że jego synalek pragnie się zabawić w Don Juana. Pójdziemy, zrobimy dobre wrażenie. I spokojnie poczekamy na rozwój sytuacji.

Bailey zdawała sobie sprawę, że jest śmieszna, kiedy owinięta w prześcieradło na palcach przekradała się do swojego apartamentu. Pobiegła prosto do łazienki i stanęła przed lustrem. Policzki wciąż miała zarumienione, włosy potargane, a w oczach blask bezwstydney satysfakcji. Uśmiechnęła się do swojego odbicia i w tej właśnie chwili zrozumiała, że z lustra patrzy na nią ktoś całkiem odmieniony. Zniknęła „stara Bailey”, nieśmiała i zakompleksiona. Zniknęła też „nowa Bailey”, sztuczny twór, bez skazy i bez przeszłości. Dziewczyna, która patrzyła w lustro,

była pełna nadziei. Po raz pierwszy w życiu czuła, że może przestać uciekać przed prawdą o sobie. Wyznała głośno swoje najskrytsze tajemnice i zamiast potępienia doświadczyła zrozumienia i akceptacji. Była wolna od lęku. Nie musiała już kryć się pod maską. Owszem, w przeszłości mogła dokonać lepszych, mniej kontrowersyjnych wyborów. Ale to właśnie te, a nie inne doświadczenia doprowadziły ją do miejsca, gdzie była dzisiaj. Do dnia, w którym odkryła, czym jest miłość.

Nucąc pod nosem jakąś beztroską piosenkę, odświeżyła się pod prysznicem, ułożyła włosy, spinając je nad karkiem srebrną ażurową klamrą w kształcie liścia, włożyła romantyczną sukienkę z popielatej tafty, sięgającą kolan, z dopasowaną górą i marszczoną, leciutką spódnicą. Umalowała usta, ale z pudru zrezygnowała. Z dreszczem ekscytacji czekała na moment, kiedy cały świat zobaczy jej prawdziwą twarz.

Każda sekunda, którą musiała spędzić z daleka od Jareda, dłużyła się w nieskończoność. Wreszcie zapukał do drzwi, a kiedy otworzyła, bez słowa podał jej ramię, zjawiskowo przystojny w ciemnym, antracytowym garniturze. Miała ochotę rzucić mu się na szyję, ale kiedy zmierzył ją chmurnym spojrzeniem, zabrakło jej odwagi. W milczeniu ruszyli do willi.

David Gagnon uwielbiał urządzać przyjęcia, co do tego nie było wątpliwości. Tego wieczora powietrze było chłodne i wilgotne po sztormie, więc do stołu nakryto w przeszklonej oranżerii. Na stole, w wysokich lichtarzach płonęły świece, a blask ich płomieni odbijał się tęczowo w kieliszkach z rżniętego kryształu. Biesiadników zebrało się około dziesięciorga – David, Michelle i Alexandre Gagnonowie, kilku przedstawicieli Maison Électronique i oni dwoje. Odkąd zajęli miejsca, Jared nie przestawał mierzyć Alexandre’a wrogim spojrzeniem.

– Muszę powiedzieć, że Cap Ferrat to zupełnie niezwykle miejsce – odezwała się Bailey, kiedy podano przystawkę. Zrezygnowała z foie gras na rzecz szparagów, owiniętych plasterkami szynki, z domowym majonezem, przybranych kruchymi liśćmi endywii i młodego szpinaku.

– O, tak – podchwycił David. – Właśnie dlatego lubię podejmować tutaj ważnych gości, chociaż główna siedziba naszej firmy mieści się w Paryżu. Tam jeszcze nieraz będzie miała pani okazję przyjechać, gdy tylko... jeśli tylko nasze rozmowy zakończą się porozumieniem.

– Bailey, jestem ciekaw, czy nie uważa pani, że w porównaniu z gorącym Las Vegas tutejszy klimat jest trochę zbyt chłodny? – wtrącił Alexandre, uśmiechając się znacząco.

- Nie mam najlepszych wspomnień z tamtego miejsca. - Spojrzała mu prosto w oczy. - I przyznam się, że zdecydowanie wolę chłodniejszy klimat.

- Och, jeśli już mówimy o Vegas - Francuzik dystyngowanym ruchem uniósł kieliszek, umoczył wargi w winie - to nareszcie przypomniałem sobie, gdzie panią widziałem. Zazwyczaj nie mam problemów z pamięcią, ale to było dawno... całe osiem lat temu.

- Gagnon... - Jared wyprostował się gwałtownie. Jego głos przypominał ostrzegawcze warknięcie.

- Widziałem panią w Czerwonym Buduarze! - wykrzyknął Alexandre, ignorując ostrzeżenie. - Nie wiem, jak mogłem zapomnieć... W purpurowych koronkach była pani zjawiskowa.

Przy stole zaległa cisza, ciężka, pulsująca od napięcia. Osiem par oczu wpatrywało się teraz w Bailey, z niedowierzaniem, zaskoczeniem albo niezdrową ciekawością.

- Panowie, byliście już w Czerwonym Buduarze? - Alexandre rozsiadł się wygodnie, bardzo z siebie zadowolony. - Jeśli nie, to musicie jak najszybciej nadrobić zaległości. To luksusowy klub ze striptizem. Występują tam naprawdę piękne kobiety, widziałem ich wiele... ale żadna nie mogła się równać z Freyą Snow. To była prawdziwa nordycka księżniczka, chłodna i namiętna zarazem. Kiedy się rozbierała, nie można było oderwać od niej wzroku. Miała ciało bogini.

- Alexandre, nie rozumiem, o czym ty mówisz. - David zmarszczył brwi. - Co ta historia ma wspólnego z Bailey St John?

- Freya Snow to pseudonim, który sobie wybrałam, kiedy tańczyłam w Czerwonym Buduarze. - Bailey czuła w ustach gorycz, ale zmusiła się, żeby mówić swobodnie, nie spuszczać wzroku. - Byłam striptizerką. Dzięki temu opłacałam studia, więc nie był to czas stracony. Ale muszę przyznać, że odetchnęłam z ulgą, kiedy mogłam zająć się tym, co mnie naprawdę interesuje. Nic nie ujmując branży rozrywkowej, było to zajęcie poniżej moich ambicji.

- W sumie szkoda - westchnął Alexandre. - Bo ma pani prawdziwy talent... gdy chodzi o zdejmowanie ciuszków. A swoją drogą, czyż nie sądzą państwo, że historia Bailey St John jest pięknym przykładem ziszczenia American dream'u? Od striptizerki do dyrektorki.

- Bardzo państwa przepraszam - David podniósł się z miejsca; twarz miał bladą z oburzenia - ale muszę zamienić z moim synem kilka słów na osobności.

- To nie będzie konieczne - wtrącił Jared. - Myślę, że wszyscy usłyszeliśmy już dosyć, by nie mieć wątpliwości, że pewne osobiste doświadczenia nie pozwalają

panu Alexandre'owi na obiektywność przy podjęciu decyzji dotyczącej kontraktu łączącego nasze przedsiębiorstwa. Od siebie mogę tylko dodać, że bardzo mu współczuję, bo doskonale wiem, na co liczył i jak srogi spotkał go zawód.

Ktoś parsknął śmiechem. Alexandre pobladł gwałtownie, ale zmilczał, przywołany do porządku srogim spojrzeniem ojca.

– Los partnerstwa Stone Industries i Maison Électronique jest w pańskich rękach, panie Gagnon – kontynuował Jared, zwracając się do Davida. – Jestem pewien, że podejmie pan słuszną decyzję. Dziękujemy za iście królewską gościnę, lecz będzie lepiej, jeśli jeszcze dziś wyjedziemy. Nie chcemy, żeby niezdrowe emocje negatywnie wpłynęły na naszą ewentualną przyszłą współpracę.

Nikt się nie odezwał, kiedy Jared wstał i podał rękę Bailey. Odprowadzani spojrzeniami ośmiu par oczu, wyszli w noc, ciepłą, łagodną, przesyconą zapachem letniego deszczu. Bailey czuła, że ogromny ciężar spadł jej z serca. Oddychała czystą, beztroską radością.

Radość nie opuszczała jej, gdy pakowała walizkę, szykując się do podróży. Czuła, że ma przed sobą zupełnie nowy rozdział życia i nie mogła się go doczekać, jak dziecko Wigilii Bożego Narodzenia. Czy rozmowy z Maison Électronique, mimo wszystko, zakończą się sukcesem? Jeśli tak, będzie to niesamowita trampolina dla jej kariery. Jeśli nie... cóż, świat się nie zawali. Jej życie nie ograniczało się już do pracy. Teraz pojawiła się w nim miłość, niosąc słodkie marzenia i dreszcz ekscytacji, jakiego dotąd nie знаła. Co jeszcze się wydarzy między nią a Jaredem...?

Och, oczywiście, zapewniła go, że nie oczekuje obietnic. Ale teraz, kiedy na samo wspomnienie ich bliskości jej ciało wibrowało rozkosznym podnieceniem, wiedziała, że pragnie więcej niż tylko jednorazowego doświadczenia. Nieskończenie więcej. I nie mogła nic poradzić na to, że w jej sercu zaczynała kiełkować nadzieja.

Kiedy znaleźli się na pokładzie samolotu, jej radość nieco przygasła. Jared był milczący i wyraźnie spięty; ograniczył się do informacji, że noc spędzi w gabinecie, bo ma coś pilnego do zrobienia, po czym zamknął się tam bez dalszych wyjaśnień. Bailey została sama i starała się mężnie znieść rozczarowanie. Wyglądało na to, że jej marzenia były szczytem naiwności. Jared stracił zainteresowanie jej osobą i niejaka Bailey St John dołączy po prostu do niemałej kolekcji kobiet, które poznał... w biurze i w buduarze.

– Widzimy się jutro w pracy? – rzuciła, siląc się na swobodny ton, gdy znaleźli się na lotnisku. Ale on tylko skinął głową z roztargnieniem.

Zaciskając zęby, ruszyła na postój taksówek. Radość zgasła zupełnie i Bailey nie

miała pojęcia, z czego się tak cieszyła jeszcze kilka godzin temu. Teraz tamte marzenia wydawały jej się absurdalnie głupie. Cóż, nie miała zamiaru płakać. Pójdzie do pracy, zajmie się tym, co do niej należy. Udowodni Jaredowi, że nie każda kobieta kłamie, gdy mówi, że niczego nie oczekuje. Potrafiła być równie twarda jak on.

Następnego dnia pojawiła się w pracy punktualnie o wpół do ósmej rano, z kubkiem swojej ulubionej kawy w dłoni, i włączyła komputer. W poczcie nie było żadnej wiadomości od Jareda i Bailey poczuła, jak umiera w niej ostatnia resztką nieśmiałej nadziei. Nie zadzwonił do niej, nie napisał nawet głupiego esemesa, a ona tęskniła jak ostatnia idiotka.

Żeby poprawić sobie humor, kliknęła na mejl od Arii, pod enigmatycznym tytułem: „Czy można już gratulować...?”. Cóż, na razie gratulować nie było czego. Nie wiedziała, jaką decyzję podjęła ostatecznie Maison Électronique, zaś jej prywatne życie było, póki co, w totalnej rozsypce.

Bailey, czytałaś już artykuł na pierwszej stronie „Kuriera Saint José”? Powiedziałaś „tak?”. Zadzwoń do mnie, bo umrę z ciekawości!!!

Zmarszczyła brwi. Tego ranka kupiła gazetę, ale nie miała czasu do niej zajrzeć. Gorączkowo sięgnęła do torebki. Sama nie wiedziała, dlaczego jej ręce dygocą jak w febrze. Bez trudu odnalazła właściwy artykuł i poczuła, że ciśnienie się jej podnosi, choć nie wypiła jeszcze ani łyka kawy.

Deklaracja programowa - wersja poprawiona.

Kilka dni temu napisałem tekst zatytułowany „Deklaracja programowa”. Przedstawiał on w sposób żartobliwy, tym niemniej szczerzy, moje poglądy na temat kobiet i damsko-męskich relacji, tak zawodowych, jak i łóżkowych. Ponieważ ów tekst, który w założeniu był adresowany do kilku osób, został udostępniony wszystkim użytkownikom internetu i do dziś dnia ma pięć milionów odsłon, pozwolę sobie uczynić założenie, że szanowni czytelnicy wiedzą, o czym mówię.

Moje obserwacje dotyczące kobiet wywołały żywiołowe reakcje. Niektórzy czytelnicy przyznawali mi słuszność, inni dawali wyraz swojemu oburzeniu.

Dziś sam pragnę zabrać głos w dyskusji, którą zapoczątkowałem.

Kiedy pisałem deklarację, szczerze wierzyłem we wszystko, co w niej zamieściłem. Z moich obserwacji wynika, że wiele kobiet nie czuje się dobrze w roli, jaką narzuca im nowoczesne społeczeństwo. Mówią o szklanym suficie, podczas gdy tak naprawdę nie widzą dla siebie miejsca w bezlitosnym świecie korporacji. Poczuję się uprawniony do wyciągnięcia wniosku, że kobiety jako

takie, nie nadają się na kierownicze stanowiska w wielkich firmach. Byłem przekonany, że wolą być traktowane ulgowo, niż zmierzyć się z mężczyznami w twardej walce o przywództwo w światowym biznesie.

Zmieniłem zdanie, gdy dane mi było poznać kobietę, której niewielu mężczyzn potrafiłoby dotrzymać kroku. Bailey St John, autorka nowatorskiej strategii marketingowej Stone Industries, swój spektakularny sukces zawodowy zawdzięcza wyłącznie sile charakteru, nieprzeciętnej inteligencji i ciężkiej pracy. Muszę szczerze wyznać, że długo nie dostrzegałem jej potencjału, zaślepiony stereotypami, w które święcie wierzyłem. Długo traktowałem ją niesprawiedliwie, odmawiając awansu, który się jej bezapelacyjnie należał. Dziś przyznaję, że mianowanie jej na dyrektorskie stanowisko było bodaj najlepszą decyzją, jaką podjąłem od czasu stworzenia firmy. Dzięki tej decyzji Stone Industries umocniło swoją pozycję, bo dzisiaj, o czym zawiadamiam z dumą, firma Maison Électronique podpisała pięcioletni partnerski kontrakt, zapewniając nam wejście na rynek europejski, ja zaś zyskałem okazję współpracy z osobą, której nie waham się nazwać geniuszem marketingu.

Bailey St John przekonała mnie, że płeć, choć z pewnością ma znaczenie na porodówce, niczego nie determinuje w świecie biznesu. Ale to nie wszystko. Dzięki niej dziś nie tylko wierzę, że istnieją kobiety stworzone do tego, by objąć kierownicze stanowiska w wielkich korporacjach, ale także wiem z całą pewnością, że istnieje taka kobieta, której pragnę ofiarować specjalne miejsce w moim prywatnym życiu. Bailey nauczyła mnie, jak głęboka, piękna i satysfakcjonująca może być relacja dwojga ludzi oparta na lojalności i zaufaniu.

Niech wolno mi będzie wyznać tutaj, że to właśnie z nią pragnę związać się na dobre i na złe, dopóki śmierć nas nie rozłączy. Pragnę tego, bo ją kocham. I jestem jej nieskończenie wdzięczny za to, czego się dzięki niej nauczyłem. Uczyniła mnie lepszym człowiekiem.

Bailey, jeśli to czytasz, wiedz, że wystarczy jedno Twoje słowo, żebyś została panią mojego życia. O niczym innym nie marzę, jak tylko o tym, żebyś wywróciła je do góry nogami. Obiecuję Ci, biorąc na świadków wszystkich czytelników tego listu, pierścionek z brylantem wielkości kostki cukru, obrączkę ślubną i wierność aż po grób. A także gorące, namiętne noce. I żelazną kondycję, bym mógł sprostać Twojej niespożytej energii. Tylko białego płotu otaczającego nasz wspólny dom nie mogę Ci obiecać, bo w Pacific Heights panują surowe zasady dotyczące wyglądu posesji i ogrodzenia muszą być obsadzone zielenią.

Przed wszystkim jednak przyrzekam Ci miłość, szacunek, absolutną szczerłość

i pełne zaufanie. Jeśli powiesz” tak”, uczynisz mnie najszczęśliwszym mężczyzną na kuli ziemskiej.

Kocham Cię,
Jared Stone

Zaczytana Bailey zupełnie zapomniała o swoim mocnym postanowieniu, że nie pozwoli sobie na łzy. Zanim dotarła do zakończenia, płakała jak bóbr. Mary, asystentka Jareda, entuzjastycznie pomachała jej ręką, kiedy chwilę później wkraczała do gabinetu szefa krokiem szturmowca.

– Przyszedłś złożyć wymówienie? – Jared podniósł się zza biurka, kiedy stanęła w drzwiach.

– Nie. – Jej usta zadrżały w uśmiechu. Po twarzy wciąż płynęły jej łzy. – Przyszłam powiedzieć, że przyjmuję propozycję.

Podszedł do niej, uroczysty, wyraźnie wzruszony.

– Jared, co my najlepszego robimy? – wyszeptała. – W biznesie radzimy sobie nieźle, to fakt. Ale przecież zupełnie nie wiemy, jak zbudować szczęśliwy, udany związek. Nie mamy tego w genach.

– Nauczymy się – powiedział z niezachwianą pewnością. – Wiesz, co mamy w genach? Silną wolę, ambicję i upór. Jeśli wspólnie podejmiemy wyzwanie, nie możemy przegrać. Jesteśmy skazani na sukces, Bailey.

– Kocham cię. – Spojrzała mu w oczy. – I zawsze będę cię kochać, choćbyś nie wiem jak mnie irytował. Jestem pewna, że czeka nas niejeden kryzys, ale porażkę zdecydowanie wykluczam. Oto moja „Deklaracja programowa”...

Nie mogła mówić dalej, bo Jared zamknął jej usta pocałunkiem, a ona odwzajemniła go, z powagą przypieczętowując zawartą umowę.

Nie przestali się całować nawet wtedy, gdy za wciąż uchylonymi drzwiami gabinetu rozległa się burza oklasków. Tłumnie zgromadzeni pracownicy Stone Industries wiwatami przyjmowali nowy sukces szefa. Bailey poczuła, że chce jej się śmiać. W dobie mediów społecznościowych naprawdę ciężko o prywatność...

Tytuł oryginału: The Magnate's Manifesto
Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Limited, 2014
Redaktor serii: Marzena Cieśla
Opracowanie redakcyjne: Marzena Cieśla
Korekta: Hanna Lachowska

© 2014 by Jennifer Drogell
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2016

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Światowe Życie są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-2097-2

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o.